

Dunajec

TYGODNIK PZPR

Nr 3 (14)

ROK II

Cena 4 zł

Nowy Sącz, 18 stycznia 1981

OBOWIĄZEK PAMIĘCI

Czas płynie, rodzą się dzieci, powstają nowe osiedla, życie idzie naprzód — a my, rok po roku, kładziemy kwiaty, zapalamy znicze, zaciągamy warty honorowe. Pamięć o dniu wyzwolenia trwa w naszym narodzie. Nie zarosły trawą mogiły czerwonoarmiejców. Tym, którzy padali daleko od rodzinnego domu i tym, którzy poszli dobić hitlerowskiego gada w jego gnieździe — oddajemy cześć. Tak się wypełnia obowiązek pamięci.

Tamten styczeń był mroźny i biały od śniegu. W narastającym dudnieniu armat szło od Wschodu nowe, zbrojne, zwycięskie. Jak lawina przetoczyły się przez naszą ziemię bitne, sprawiedliwości dziejową germańskiej pysze wymierzające armie. I chociaż nie byliśmy w tej wojnie statystami, chociaż wnieśliśmy liczący się wkład w berlińską wiktoryę — jednak Czerwonej Armii składamy hold, jej żołnierzom i oficerom oddajemy bezsporną zasługę: decydujący cios faszyzmowi zadali ludzie radzieccy. Straszna cena za to zapłacili i dlatego ich czyny nie ulegną zapomnieniu.



FOT. STANISŁAW SMIERCIAK

Stefan Opara

PRZED ZJAZDEM

W tygodniach i dniach wypada nam odmierzać czas od IX Zjazdu partii, zjazdu ogromnych nadziei i oczekiwań. Sytuacja w partii poważnie rzutuje na całość życia społecznego w naszym kraju. Przewodnia siła jest dziś surowo oceniana. Jest przecież szeroko reprezentowany pewien tryb myślenia, zgodny z którym szczególne znaczenie dla socjalistycznej odnowy mają przeobrażenia w partii. Dają temu wyraz członkowie organizacji podstawowych, którzy podczas burzliwych zebrań nie szczędzą słów krytyki i przedstawiają rozliczne żądania i propozycje. Z drugiej strony obywatele różnych orientacji i przekonań, przyjmując za fakt przewodnią rolę partii w życiu społecznym, pragną, aby ta partia się wewnętrznie odrodziła. Nic dziwnego, że rady i sugestie wobec partii płyną z różnych stron, widać je także w wystąpieniach działaczy pozapartyjnych ugrupowań. W samej partii ścierają się różne poglądy, co ilustruje przebieg dyskusji w organizacjach różnych szczebli, a także podczas VI i VII Plenum KC. Mamy więc w życiu PZPR okres poważnego nasilenia dążeń do krytycznej weryfikacji dotychczasowych zasad działania. Nie wszędzie te dążenia ujawniane są z wystarczającą siłą, ale ich pominięcie jest już raczej niemożliwe.

(CIĄG DAJSZY NA STR. 2)



PRZED ZJAZDEM

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

Tendencje zachowawcze przynoszą dziś tylko szkodę partii; odpowiednio zmiany w życiu partii są warunkiem zapewnienia socjalistycznego charakteru odnowy, umocnienia siły wewnętrznej i przewodniej roli PZPR. Ale dążąc do zmian ustreczyć się trzeba przed ideowym kapitulancstwem, przed naruszeniem organizacyjnej i ideologicznej jedności partii.

Zielone światło dla odnowy w partii wskazuje więc drogę między dwoma niebezpieczeństwami: dogmatycznym konserwatyzmem i ideowym kapitulancstwem.

Ci, co projektują zmiany w partii, żądają tych zmian i oczekują tych zmian, nie mogą zatem pominąć refleksji o granicach tożsamości tej partii. Z pragnieniem odnowy łączyć się musi świadomość, co można poddawać negacji lub zmianom — jeśli PZPR ma pozostać sobą, czyli partią marksistowsko-leninowską, wyrastającą z określonej tradycji, stanowiącą ogniwo światowego ruchu komunistycznego i robotniczego, wierną swoim wartościom, zasadom i pryncypiom.

Można przyjąć, że właściwości każdej partii analizować można w trzech płaszczyznach:

- płaszczyzna ideologiczna, a zatem wartości, którym partia służy, i cele, które pragnie urzeczywistnić, a także sposoby teoretycznego uzasadnienia celów i wartości;

- płaszczyzna praktycznego działania, a zatem metody i środki, które podejmuje partia dla realizacji swych celów i wartości;

- płaszczyzna organizacyjna, a zatem w szczególności zasady wewnętrzne, wymogi wobec członków, reguły wyborcze itp.

Można stwierdzić, że fala krytyki i postulaty zmian nierównomiernie rozkładają się na tych trzech płaszczyznach. Wbrew wielu powierzchownym ocenom, ostatni kryzys nie jest totalnym kryzysem ideologii. Nasze społeczeństwo dość powszechnie deklaruje swoje przywiązanie do systemu wartości i celów związanych z normatywnym obrazem socjalizmu.

Zgoda na ideały społeczne nie oznacza zgody na ich uzasadnienie — i zwłaszcza tu przebiega dziś linia tożsamości partii. W odróżnieniu od innych partii czy ruchów społecznych, PZPR

uznaje marksizm za jedyną naukową podstawę wartości i celów socjalizmu. Odrzucenie filozofii marksistowskiej, naszych marksistowsko-leninowskich podstaw światopoglądowych (teorii świata, człowieka, społeczeństwa) byłoby równoznaczne z utratą tożsamości naszej partii, z przekształceniem jej w partię na wzór socjaldemokratycznej.

Zgoda na wartości i cele społeczne nie oznaczała i nie oznacza też zgody na metody i środki ich realizacji. Jak urzeczywistniać socjalizm — oto pytanie, które rozbilo ruch robotniczy na dwa nurt: nurt radykalny, preferujący rewolucję, a zatem i walkę zbrojną, przemoc, dyktaturę proletariatu oraz nurt ugodowy, preferujący stopniowe reformy, walkę parlamentarną, przekształcenia wewnętrzne. W polskim ruchu robotniczym podział ten dał o sobie znać już u narodzin.

Zwolennicy socjalizmu nawiązują do różnych tradycji, preferujących różne metody walki o władzę i różne metody obrony tej władzy, i w tym punkcie przebiega kolejna linia tożsamości partii. PZPR wyrastając z tradycji PPR i PPS-lewicy podkreśla zwłaszcza swój rewolucyjny rodowód, wykazując że tylko nurt radykalny zapewni — jak wskazuje historia — skuteczną walkę o socjalizm.

Zwróćmy jeszcze uwagę na trzecią płaszczyznę określania tożsamości partii — płaszczyznę wewnętrzного życia partyjnego. Jest sprawą oczywistą, że inne reguły organizacyjne preferować będzie partia szukająca rewolucji i zbrojną walkę o władzę, wraz ze wszystkimi takimi walki konsekwencjami (zbrojny opór, potrzeba likwidacji tego oporu i konieczność utrzymania władzy pod groźbą odwetu itp.) — a inne reguły może przyjąć partia, która dąży do władzy drogą ugody, wyborów itp. Dlatego też warto podkreślić, że nasza partia ma tu specyficzne tradycje: nie zdobywała władzy drogą zbrojną, ale zbrojnie tej władzy broniła przed wrogami, konsekwentnie jednocześnie działając na rzecz uzyskania społecznego, ogólnonarodowego przyzwolenia na swą polityczną pozycję.

Często podkreśla się dziś, że odnowa w naszej partii ma polegać na przywróceniu leninowskich norm życia wewnętrznego. Normy te rzeczywiście określają właściwości naszej partii. Co to za normy i jak one powstały?

Leninowska koncepcja partii wywarła potężny wpływ na cały ruch robotniczy; koncepcja partii, która miała dialektycznie działać, łącząc:

- demokrację z centralizmem;
- swobodę dyskusji z zakazem frakcji;

- wyłączność w sprawowaniu władzy politycznej z pogłębianiem demokracji w społeczeństwie;
- kolegiałość pracy i decyzji z osobistą odpowiedzialnością;

- prawo do krytyki z autorytetem przelożonych;
- awangardowość ze stałym wzrostem partii, zwłaszcza przez masowy napływ robotników i chłopów;

- stałą kontrolę z zaufaniem do kadr i wiarę w ludzką chęć do samokrytyki;
- robotniczy charakter z zadaniami reprezentowania całego społeczeństwa;
- ideowość i wierność pryncypiom, przeciwdziałanie rewizjonizmowi i dogmatyzmowi, a zarazem twórczy stosunek do marksizmu; itp.

Lenin miał okazję tylko przez dwa niezwykle trudne lata dramatycznej walki o utrzymanie władzy radzieckiej obserwować praktyczne działanie określonych przez siebie na X Zjeździe zasad życia partyjnego. Zasady te, ukształtowane i weryfikowane na gruncie konkretnej historycznej praktyki, miały okazywać swe uniwersalne oddziaływanie w różnych okresach funkcjonowania polskiego ruchu robotniczego.

Śledząc dokumenty naszej partii, często odnajdujemy w nich troskę o pełne przestrzeganie norm leninowskich oraz traktowanie leninizmu jako sztywnego kryterium oceny pracy partyjnej. Oceny takie pojawiały się też zawsze jako część składowa wykładni politycznych po kryzysach w życiu wewnątrzpartyjnym. Bolesław Bierut we wrześniu 1948 roku wskazał na odstępstwa od leninizmu przez grupę poprzedniego i sekretarza. Po październiku 1956 roku akcentowano potrzebę przywrócenia leninowskich zasad życia wewnątrzpartyjnego, ukazując ich łamanie w okresie błędów i wypaczeń. Szczególną rangę leninowskich norm i zasad życia partyjnego jako „bezczennej inspiracji, punktu odniesienia i wytycznej działania” podnoszono także po 1970 roku.

Można zatem wprowadzić wniosek, że kwestia przestrzegania leninowskich

norm życia partyjnego nie sprowadza się do szczyrnych chęci czy do ich słownej akceptacji, ale wymaga — wskazuje na to doświadczenie naszej partii — i rzetelnych gwarancji statutowych, i respektowania ich w praktyce. Byłoby jednocześnie głębokim odstępstwem od marksistowsko-leninowskiego trybu myślenia poszukiwać tylko w przeszłości rozwiązań spraw, które przynosi dzień dzisiejszy. Trzeba stwierdzić prawdę, która nie do wszystkich dociera, że znaczenie leninizmu oczywiście nie zwalnia partii działającej u schyłku XX wieku od twórczego uogólniania własnej współczesnej praktyki, wyciągania wniosków z własnej i cudzej historii. Zrozumienie dla tej prawdy daje obecnie o sobie znać w partii. Dlatego też godne najwyższej uwagi są postulaty głoszące m. in. konieczność:

- jasnych gwarancji demokracji wewnątrzpartyjnej, ale i umiarności dyscypliny;
- kolegiałość w pracy instancji i organizacji partyjnych, ale i żelaznej konsekwencji w realizacji postanowień;
- jawności życia wewnątrzpartyjnego, ale i wartości i skuteczności w walce z wrogami partii;
- dodatkowych gwarancji dla demokracji wewnątrzpartyjnej w przepisach statutu, ale i przestrzeganie obowiązków zawartych w tym statucie;
- nowego regulaminu wyboru władz i delegatów;
- ustalenia liczby kadencji pełnienia funkcji wybieralnych.

Powyższe idee znajdujemy w dokumentach VII Plenum KC. Trzeba wierzyć, że planowany na przełomie I i II kwartału 1981 roku IX Zjazd PZPR nie unosi z dyskusji i inicjatyw organizacji partyjnych, zapewni ideologiczną wartość partii, określi socjalistyczne treści odnowy i twórczo stosując leninowskie normy stworzy rękojmię zapobiegania kryzysom. Nie wydaje się aby zagrażało tożsamości partii bogactwo rozwiązań dotyczących efektywności gospodarowania, usprawnienie pracy Sejmu i rad narodowych, pogłębianie autentyzmu ruchu związkowego, który działając samorządnie i niezależnie tym lepiej służyć powinien socjalistycznemu ideałom; usprawnienie metod sprawowania przez partię kierowniczej roli w społeczeństwie itp. Takie reformy mogą zagrażać nie partii, ale tylko określonym ludziom w partii. Zjazd stoi przed wielką szansą odważnych reform. Wiele zależy od obecnych na sali tego zjazdu. Czy historyczna szansa odnowy, przy zachowaniu tożsamości ideowej partii, zostanie wykorzystana?

Fragmety artykułu z ŻYCIA WARSZAWY.

Mówi członek Komisji Zjazdowej — prof. Władysław Markiewicz

nia nim w sposób odpowiadający modelowi autentycznie demokratycznego socjalizmu.

Wprawdzie z racji pełnienia przez PZPR przewodniej roli w państwie IX zjazd zajmie się problemami o charakterze — rzecz by można — uniwersalnym, jednakże będzie to zjazd partii, właśnie i dlatego problematyka rozwoju partii „jako takiej” winna stać w centrum zainteresowań jej członków. A mają oni nad czym się pogłowić, jako że kryzys, który nawiedził nasz kraj i zaatakował wszystkie podstawowe formy struktury i dziedziny życia zbiorowego, był także, albo zgoła przede wszystkim, kryzysem wewnątrzpartyjnym. Toteż stopień i tempo pokonywania trudności w pozostałych sferach życia społecznego zależęć będzie w decydujący mierze od zdolności partii i jej aktywności w walce o odnowę i uporać się z deformacjami, które w pewnym momencie mogły nawet postawić pod znakiem zapytania to, czy jest ona powołana do ponoszenia politycznej odpowiedzialności za państwo i jego socjalistyczne oblicze.

Centralną sprawą, wobec której wszystkie pozostałe reguły działania partii ująć by można za w jakimś sensie pochodne, jest odpowiednia, spełniająca wymogi dyktowane przez procesy odnowy wykładnia obowiązującej w partii teorii leninowskiej zasady centralizmu demokratycznego. IX zjazd musi stanowczo znaleźć statutowe zabezpieczenie przed permanentnie dotychczas pojawiającymi się i — jak się, niestety, okazało — przemocy tendencjami do przekształcania się centralizmu demokratycznego w jego przeciwieństwo tj. w centralizm biurokratyczny. Pozytywie się raz na zawsze tej groźby stawia na porządku dziennym konieczność przedyskutowania m. in. takich kwestii jak:

- niemanipulacyjny, maksymalnie przejrzysty mechanizm selekcji i doboru kadry kierowniczej w instancjach partyjnych wszystkich szczebli oraz zapewnienie możliwości skutecznej kontroli nad jej działalnością przez wprowadzenie nie tylko prawa, lecz także obowiązku krytyki wewnątrzpartyjnej

(na przykład w formie dwu- czy wielowariantowego opracowywania projektów uchwał i ocen instancji partyjnych);

- całkowite zniesienie lub ograniczenie do niezbędnego minimum wyczuwalnego łączenia stanowisk kierowniczych w instancjach partyjnych z funkcjami w ciałach przedstawicielskich i w państwowych organach wykonawczych;

- wydane zmniejszenie liczby pracowników aparatu partyjnego, zastąpienie w miarę możliwości etatowych funkcjonariuszy społecznie działającymi komisjami, czy zespołami ekspertów i działaczy, uznanie nadzędnej roli funkcji partyjnych z wyboru nad funkcjami z tytułu nominacji;

- zawężenie zasięgu uprawnień nomenklaturowych instancji partyjnych do politycznie rzeczywistych i realnie znaczących stanowisk i przesunięcie tym samym głównego ciężaru pracy partyjnej na działalność objaśniająco-perswazyjną w środowisku bezpartyjnych;

- opracowanie programu intensywnych badań nad partią z myślą w szczególności o możliwie precyzyjnym rozpoznaniu skutków wynikających z jej umasowienia oraz ewentualności osłabienia w niej jej robotniczego trzonu;

- wyciągnięcie wszystkich wniosków natury ideologicznej i politycznej, w tym także w dziedzinie polityki kadrowej, wypływających z faktu, iż religia jest w naszych warunkach zjawiskiem znacznie trwałszym niż się to wydawało niektórym doktrynom, i że kościół w imię ochrony nadzędnych interesów narodowej i państwowej racji stanu potrafi dostrzec w socjalistycznym rozwoju Polski możliwą do zaakceptowania konieczność historyczną.

Wszystkie wyrywkowo wymienione tu i inne jeszcze ważne problemy są od dłuższego czasu żywo, a nieraz wręcz namietnie dyskutowane w organizacjach partyjnych; wobec większości z tych problemów zajęło już stanowisko VI, a następnie także VII Plenum Komitetu Centralnego. Z jednej strony ułatwia to znacznie zadanie komisji zjazdowej, która może i powinna skorzystać z gotowych opracowań, z drugiej jednak strony komplikuje jej pracę, gdyż postulaty zgłaszane przez organizacje partyjne są często sprzeczne ze sobą i wzajemnie się wykluczają — co z góry przesądza o tym, iż propozycje też programowych, przygotowane przez komisję, nie wszystkich członków partii zadowolą.

Dotował: WITOLD GAWRON (PAP)

Jest niedzielny wieczór na sądeckim Ratuszu. Nikt nie patrzy na zegarek, choć nie ulega wątpliwości, że czas odgrywa teraz rolę decydującą. Krzesło, na którym siedzę, zajmie niebawem człowiek w mundurze. Dopiero, on usłyszysz słowa, na które czekała przez trzy dni miejscowa władza. Kamień spadnie mu z serca po słowach: — Panie kapitanie! Za chwilę wyjdziemy spokojnie.

Jeszcze ten moment nie nastąpił. Jeszcze można przerwać błędne koło rozmów krążących wciąż wokół jednej kwestii: czy okupacja sali jest czynem uprawnionym, czy też przejawem osłabienia i złej woli? Argumenty już włożono, rwie się szansa porozumienia. Ostatnie słowa adresowane są już nie do prezydenta miasta i nie do prokuratora, lecz do nas. Jao Budnik mówi:

— Chcę mieć nadął zaufanie do dziennikarzy. Chcę wierzyć, że przekazuje prawdę o naszym stanowisku bez zbędnych skrajności.

Teraz pragnę odpowiedzieć, Panie Janku, na to wezwanie z całą sympatią, jaką darzę Pana od naszego pierwszego spotkania. Jest to sympatia zrodzona w szczerych dyskusjach, w które wnosil Pan dużo spokoju i kultury osobistej. Zrewanżuję się otwartym wyłożeniem mojej prawdy. Bo choćby to była za sympatia, gdybym skrywał, co myślę w tę noc tędną, która nie pozwala zmużyć oka, i w ten dzień, który po niej naszedł naznaczony niepokojem i wątpliwościami.

Zacznę od wyznania osobistego, które — mam nadzieję — wyjaśni, dlaczego czuję się w prawie zabierać głos w sprawach Waszych poczynaniach. Otóż działalność publiczną zacząłem w bardzo młodym wieku: w październiku 1956 roku miałem raptem 21 lat. Zdążyłem więc nagromadzić do dziś trochę doświadczeń i nie ma powodu, bym się ich wstydził. Fala tamtego zrywu społecznegoniosła nas równie silnie, jak ta, która porwała obecnie Pana i Pańskich kolegów. Byliśmy ludźmi o różnych temperamentach, charakterach i tacy pozostaliśmy w wieku dajżeśmy. Stefan Bratkowski nie podobny do Jurka Grołowskiego, Włodek Fietko zasadniczo różniący się z Bernardem Tejkowskim, Emil Koronaś inny niż Rudek Klimek. Stanowiliśmy grupę kierującą krakowskim ruchem studenckim, z pozoru zważyła, bo na zewnątrz występowaaliśmy solidarnie. Z czasem weszło nam to w krew do tego stopnia, że trzymaliśmy sztamę nawet wtedy, kiedy zapadały decyzje dalekie od naszych osobistych przekonań.

Myślałem, że każdy młody ruch społeczny narażony jest na niebezpieczeństwo biorące się stąd, że zdarzenia następują szybko i nie ma czasu na spokojne rozpatrzenie oraz uwzględnienie niuansów, które kumulują się jednak bezłitośnie i prowadzą niebawem na manowce właśnie z powodu pośpiechu. Chwałotne dążenie do jedności sprawia, iż najmniejsze i najbardziej roztrąpnie zostają w bieżącej kłopotliwej przelicytowania przez najodważniejszych, którzy z reguły są także najgłośniejsi. Fala, Panie Janku, niesie. Wypadki następują błyskawicznie. W takich okolicznościach przeważa stanowisko skrajne. Jeszcze szanujemy demokrację, jeszcze wysłuchujemy różnych opinii, ale na plan pierwszy niepostrzeżenie wysuwają się ludzie z ambicjami przywódczymi. Ich głos zniewala, ich myśli wydają się najcenniejsze. Rozum tanieje, liczy się odwaga. Nawet jeśli skażona apodyktycznością i powierzchownością sądów.

Trzeba jeszcze uwzględnić i to, że do spontanicznych ruchów młodej generacji przenikają interesowne lisy umiające zdobyć pochlebne zaufanie właśnie mniej suwerennych w myśleniu przywódców, którymi manipulują później z zimną krwią w celach odległych od idei, którym młodzi chcieli służyć. Usłużne, choć brudne ręce, podsuwają gotowy tekst ulotki. Podpowiadają kogo zaatakować. Dają pieniądze i rady. Ani się nie obejrzyj, a twoja — jak ci się wydawało — ulotka tego samego dnia dotarła do Monachium i wraca na falach radia Włna Europa. Nie wysłałem tego z palca.

Takie są moje gorzkie doświadczenia, które ufna młodość odrzuca i nie daje im wiary, bo wydają się nieprawdopodobne. Przywołuję je, byście kiedyś, Panie Janku, nie powiedzieli, że nikt nie próbował Wam oczu otworzyć. A teraz o sprawach świeżych. Powiedział Pan niedawno, że nie chcecie zajmować się polityką kadrową, że odwołacie winnych będąc ci, którzy ich mianowali. A tymczasem w pierwszej ulotce, jaką wydaliście po rozpoczęciu okupacji Ratusza, przeczytałem że przyczyną podjęcia akcji protestacyjnej jest między innymi nie zrealizowanie postulatów „w sprawach kadry kierowniczej zakładów, instancji organizacji politycznych i młodzieżowych, organizacji społecznych oraz administracji państwowej”.

Sprzecznność następną: strajk miał być bronią ostateczną, po wyczerpaniu wszystkich innych form dochodzenia swych racji. Jeśli nawet przyjąć, że Wasze niepokój o tempo odnowy w Sącu jest uzasadniony — to i tak trzeba spytac, czy spróbować wcześniej udomoknowiać te tezę np. wobec Rządu lub innych ośrodków decyzyjnych w kraju? Czy przed podjęciem strajku zaskalać się pośrednictwem i wsparcia we władzach zwierzchnich „Solidarności”? Czy one z kolei przekazały Wasze decyzje władzom państwowym?

Wie Pan doskonale, że nie tak się to odbyło! Zaniedbanie? Zła wola? Podzept? Chciałbym kiedyś usłyszeć prawdę na ten temat. A może przeważał czyjsz przeambicjonowany głos, czyjsz temperament,

jakaś osobista uraza praca do zwady? Stawiam sobie te pytania, bo wciąż nie mogę uwierzyć, że Pan i Panu podobni ludzie — z natury skłonni do negocjacji, stanowczy ale sprawiedliwi, wierni sobie ale otwarci na dialog — mogli powołać się na krok tak drastyczny, tak naznaczony niecierpliwością jak okupacja Ratusza! I proszę nie powoływać się na fakt, że nie wymalaliście drzwi, że wypuszczono Was po dobroci. Samo najście gromadą urzędu, bez uprzedzenia, bez wyczerpania wszystkich możliwości osiągnięcia kompromisu jest po prostu wystawianiem się pod zarzut, że rozmawiać chcecie z pozycji siły. Z niepokojem mówią życiwi Wam ludzie, iż w fatalny czas wybrałiście się w te podróże przez spokojne dotąd miasto. Obawiają się, że konsekwencje tej demonstracji będą oplakane. Czy naprawdę nie dotarli do Waszych rozgorączkowanych głów apele formułowane w ostatnich tygodniach przez zasługującą na posłuch osoby z bardzo różnych kręgów politycznych i światopoglądowych? Jacy szatani okazali się bardziej sugestywni?

znów dzieła Polaków i nerwicując życie regionu. Przede wszystkim trzeba szanować prawo i rozmawiać póki Wasz chęć słuchać. Ruch zrodzony z protestu przeciwko niedostatkowi demokracji nie może przekraczać granic umowy społecznej. Ponadto słownictwo Waszych publikacji nie jest nacechowane skromnością. Słowa „natychmiast!”, „żądamy!”, „brutalnie!” — pora byłoby zastąpić innymi. Może: „proponujemy”, „oczekujemy”, czy wręcz „prosimy uprzejmie”? Korona Wam z głowy spadnie, jeśli okażecie swym partnerom odrobinę szacunku? Jeśli odrzucicie słownik dawnych kaprali?

Na dłuższą metę społeczeństwo nie poprze tego stylu dyktowania warunków i przyklejania etykiet. Nikt nie jest wolny od błędów. Wy też. Miarkujcie więc, co przysłui młodym, będącym jeszcze na dorobku, jeszcze udowadniającym swą służebną rolę. I koniecznie pozostanie w obrębie swych statutowych uprawnień i we własnym lokalu, który dawno Wam bez zwłoki i którego nikt nie nachodził bez zaproszenia.

Adam Ogorzałek

Pod rozwagę



Po wejściu sił porządkowych do Ratusza

Idźmy dalej: kiedy już dokonała się interwencja sił porządkowych, przyznawaliście zgodzić, iż uczestnikom tej akcji niczego zarzucić nie można. Czemuż więc w ulotce kolportowanej następnego dnia pisaliście o „brutalnych metodach”? Byłem z Wami tego wieczoru i mam obowiązek dać świadectwo prawdzie: nawet cienia brutalności nie można stwierdzić w działaniach Milicji Obywatelskiej. Sam Pan zresztą wyjaśniał mi potem, że chodziło wam o... drzwi wejściowe. Byłby to chwalebny przejaw troski o społeczne mienie, gdyby nie bezsporny fakt, iż przymiotnik „brutalne” poszedł w świat bez uściślenia i rozpalil emocje, bo towarzyszyło mu wezwanie do gotowości strajkowej zakładów pracy. Węzeł to tak? Z powodu drzwi znowu zapowiedź strajków? Akurat teraz?

Czy nie byłoby uczciwiej przyznać wprost, że nie możecie pogodzić się z samym faktem interwencji? I odrzuciwszy krzywdzący przymiotnik z tekstu napisać, że potraktowano Was z kulturą i zaofiarowano nawet podwiezienie do lokalu związkowego?

I wreszcie sprawa kluczowa dla wybrnięcia z impasu: proponowano Wam, byście wysłali delegację na rozmowy z Rządem, a wojewodą gwarantując pełne bezpieczeństwo tego delegacji zaofiarował wotaryszczenie Wam do Warszawy. Odrzuciliście tę możliwość negocjacji. Domagaliście się przybycia komisji rządowej na Ratusz. Czy nie odezwali się aby nasza — z gór rodem — megalomania? I to w czasie, kiedy rozumni ludzie podpowiadają, iż czas najwyższy, by wypisać ministrów i wiceministrów ze straży pożarnej i wreszcie dać im szansę zajęcia się sprawami gospodarki i życia społecznego rozstrojonymi ponad miarę...

Piszę ten tekst w poniedziałek, ukaże się on w druku w piątek. Nie wiem, jakie wtedy będzie Wasze stanowisko. Mam jednak już przeczuć. Dlatego mówię: stapać po cienkim i kruchym lodzie, wyważajcie więc każdy krok z większą niż dotąd odpowiedzialnością. Nie wystarczą najłepsze intencje, nie wystarczy nawet najcięższe rące. Kiedy wybiera się drastyczne formy działania, Działania, które

Wszystko wokół jeszcze faluje, jeszcze się nie ustabilizowało. Nie wszyscy służą odnowie. Nie dołączajcie do ich szeregów. Trwając przy obronie własnych błędów, brnąc w sprawę źle od początku pomyślaną — udowodnicie tylko, że upojeni poczuciem ważności straciliście samokrytycyzm. Czy nie nabył szybko?

Taka jest moja odpowiedź na Pańskie wezwanie, by napisać prawdę o feralnym wieczorze, którego wymowę poniesiemy w życie. Każdy inaczej i każdy po swojemu. Mam jednak nadzieję, że nie przeciwko sobie. Nie jak wrogowie.

Przyzwyczajmy się do bezspornego faktu, że jesteśmy narodem złożonym z ludzi o różnych poglądach, którzy muszą się usławicznie dogadywać. Nie służy temu ani wielkopański ton, ani strajkowanie, ani obrażanie się. Odwagi cywilnej życzyć Panu w propagowaniu tego sposobu myślenia w szeregach „Solidarności”. Ja będę robił, co do mnie należy na swoim podwórku. Nawet — jeśli trzeba — pod prąd stadnych emocji.

A kiedyś poproszę Pana o szczerze wyznaczenie, jaki to orzeł pchał Was do konfrontacji? Może wtedy zrozumieć, dlaczego jeden działacz „Solidarności” twierdzi, że Wasza akcja jest niezgodniona, a więc nielegalna, natomiast drugi temu zaprzecza. Obaj oczywiście spoza Sąca. Wreszcie ktoś trzeci ma takie chody, że potrafi Waszą rezolucję tego samego dnia emitować na falach radia. Oczywiście zagraicznego radia.

Jest się nad czym zająć, Panie Janku.

Odpowiedź naczelnika

W kilku ostatnich, kolejnych numerach Waszego pisma ukazały się artykuły i notatki krytyczne, dotyczące mojej działalności jako naczelnika miasta i gminy Krynica. Szczególnie zaś dużo uwagi ob. Redaktor Antoni Kroh poświęcił sprawom związanym z przekazaniem zabytkowego pawilonu na terenie Parku Słotwińskiego w Krynicy, a na tym też kwestiom dotyczącym oddania terenu pod pawilon w użytkowanie wieczyste Ob. Romualdowi Stefanowi i przekazaniem mu dotacji celowej z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Treść tych artykułów i notatek ma wskazywać, iż moje działanie w tym zakresie jest samowolne, nieracjonalne i sprzeczne z obowiązującymi przepisami.

Uważam, iż dla dokonania oceny podejmowanych przeze mnie przedsięwzięć w tej materii istotne jest znalezienie odpowiedzi na następujące pytania:

1. czy oddanie zabytkowego pawilonu w Parku Słotwińskim osobie fizycznej w użytkowanie wieczyste było dopuszczalne w 1977 roku,
2. czy ob. Romuald Stefanów w sposób należyty wywiązał się z obowiązków w zakresie utrzymania i konserwacji przekazanego mu obiektu,
3. czy przekazanie ob. Romualdowi Stefanowi dotacji jest bezwzględnie obowiązkiem naczelnika miasta i gminy o.

W świetle okoliczności wynikających z odpowiedzi na powyższe pytania i aktualnie obowiązujących przepisów prawnych celowe jest przekazanie terenu w użytkowanie wieczyste.

Gdy w roku 1977 w związku z ogłoszeniem prasowym zgłosił się do kierownictwa Urzędu Miasta i Gminy w Krynicy ob. Romuald Stefanów, podjęte zostały wszelkie możliwe w obowiązującym wówczas stanie prawnym działania mające na celu przekazanie zabytkowego pawilonu w Parku Słotwińskim z przeznaczeniem na cele gastronomiczne. Obowiązujące wówczas przepisy uchwały nr 418 Rady Ministrów z dnia 8 grudnia 1960 r. o zasadach wykorzystania obiektów zabytkowych na cele użytkowe przewidywały wprawdzie oddawanie obiektów zabytkowych na cele użytkowe wyłącznie jednostkom gospodarki uspołecznionej, jednakże mając na uwadze stałe postępujący proces niszczenia obiektu, postanowiono oddać go w najem na wskazane powyżej cele. Cytowana wyżej uchwała obowiązywała do dnia wejścia w życie uchwały nr 179 Rady Ministrów z dnia 8 grudnia 1978 r. w sprawie wykorzystywania zabytków nieruchomych na cele użytkowe. Uchwała nr 179 poszerzyła znacznie krag osób uprawnionych do wykorzystania obiektów zabytkowych na cele użytkowe, obejmując swymi przepisami m. in. osoby fizyczne. Tak więc prawne podstawy do przekazywania nieruchomości, na których znajdują się obiekty zabytkowe, w użytkowanie wieczyste zaistniały dopiero z dniem wejścia w życie uchwały nr 179 Rady Ministrów i dlatego też ob. Romuald Stefanów jako osoba nieuprawniona do dysponowania nieruchomością (art. 29 ust. 5 prawa budowlanego) nie powinien otrzymać zgody na rozbudowę obiektu i z tego też względu jego wniosek winien być załatwiony negatywnie, również przez Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Tak się jednak nie stało i przynajmniej w tym miejscu należy, iż podjęte przez administrację decyzje co do możliwości podjęcia robót były niestety wadliwe, tym bardziej, iż wydane zostały bez uzgodnienia z Wojewódzkim Biurem Planowania Przestrzennego, Architektury i Nadzoru Budowlanego w Nowym Sączu.

Oczywiste wejście w życie przepisów uchwały nr 179 Rady Ministrów stworzyło możliwość oddania obiektu w użytkowanie wieczyste, jednak kontrola ujawniła fakty dewastacji zabytkowej substancji obiektu, powstałe w wyniku pożaru oraz nieprawidłowości w prowadzeniu robót budowlanych. Zdjęcia obiektu wykonane po pożarze są dla świadczą o tym, że zniszczeniu uległy prawie wszystkie elementy zabytkowej substancji zabytku i stan ten w mojej ocenie uzasadniał wstrzymanie dalszych robót budowlanych zgodnie z § 9 ust. 2 rozporządzenia ministra kultury i sztuki z dnia 24 sierpnia

1964 r. w sprawie zezwoleń na prowadzenie prac konserwatorskich przy zabytkach i archeologicznych prac wykopaliskowych (Dz. U. Nr 31, poz. 179) określającym zasady cofania zezwoleń na prowadzenie prac konserwatorskich przy zabytkach nieruchomych. Z tych też względów wystąpiłem drogą służbową za pośrednictwem ob. wojewody nowosądeckiego o skreślenie obiektu z rejestru zabytków.

Główny Konserwator Zabytków w osobie prof. dra Wiktora Zina w piśmie skierowanym do obywatela wicewojewody Edwarda Ligęzy negatywnie ustosunkował się co do zasadności skreślenia obiektu z rejestru zabytków, nalegał jednocześnie na oddanie obiektu w użytkowanie wieczyste, podkreślając przy tym, iż przekazanie terenu w użytkowanie wieczyste jest warunkiem za dysponowania na rzecz ob. Romualda Stefanowa przekazywanej wcześniej do Urzędu Miasta i Gminy w Krynicy dotacji z Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Przyznaję, iż w pełni zgadzam się ze stanowiskiem Głównego Konserwatora Zabytków co do dopuszczalności przekazania dotacji pod warunkiem uprzedniego przekazania terenu w użytkowanie wieczyste. Natomiast z braku odpowiednich kwalifikacji fachowych nie chciałbym zajmować stanowiska co do celowości utrzymania obiektu w rejestrze zabytków.

Z kolei stwierdzić chyba należy, iż przepisy uchwały nr 179 Rady Ministrów z dnia 8 grudnia 1978 r. w sprawie wykorzystania zabytków na cele użytkowe przyznają terenowym organom administracji państwowej możliwość przekazania obiektów zabytkowych w formie oddania w użytkowanie, sprzedaży, dzierżawy lub najem. O wyborze formy przekazania obiektu na cele użytkowe decyduje organ administracji państwowej przy uwzględnieniu wszystkich okoliczności sprawy. Okoliczności te, wyrażające się w niniejszej sprawie faktem dalszej poważnej dewastacji, spowodowanej nie tylko upływem czasu, ale i zaistniałym pożarem i sposobem prowadzenia robót, zdają się przemawiać za brakiem szczególnych przesłanek do oddania tego terenu ob. Romualdowi Stefanowi w użytkowanie wieczyste.

Ta niezwykle kontrowersyjna kwestia, dotycząca nie tylko przecięt stunku miejscowych władz do działalności ob. Romualda Stefanowa wymaga społecznej, konsultacji i uważam za rzecz ze wszech miar konieczną przedstawienie problemu na najbliższej sesji Rady Narodowej Miasta i Gminy w Krynicy i podjęcie w tej sprawie właściwych postanowień, przy uwzględnieniu w tym zakresie opinii władz nadzoru budowlanego.

Starając się w sposób możliwie najbardziej obiektywny przedstawić okoliczności tej sprawy, przyznaję jednocześnie, iż w toku załatwiania sprawy administracja być może nie ustrzegła się błędów, nie obcych zresztą żadnemu człowiekowi. Niemniej jednak za wiele krzywdzące uważam te sugestie, które zdają się wskazywać, iż w sprawie kierowałem się nieczym nie uzasadnioną niechęcią do ob. Stefanowa, a moje działania są wyrazem niedopuszczalnej samowoli.

(...) Ustosunkowując się do materiału redukcyjnych, chciałbym jednocześnie udzielić odpowiedzi na opublikowane dotychczas na łamach Waszego pisma krytyczne głosy czytelników. Szczególnie przykre są dla mnie insynuacje, zawarte w liście Ob. Janiny Gawel (...). Odpowiadam jednak: rzeczycie przed dziesięcioma laty w ramach mojego prywatnego zlecenia b. Powiatowy Zarząd Dróg Lokalnych dokonał odpłatnie niwelacji terenu wokół mojego domu. Dysponuję fakturą, dotyczącą wykonanych wówczas prac.

(...) Właściwie dopiero na wiosnę br. Ob. Gawel zakwestionowała wymiar podatku gruntowego, w związku z czym pismem z dnia 25 kwietnia 1980 r. powiadomiłem ob. Gawel o stosownej obniżce podatku gruntowego, zaznaczając jednocześnie, że sprawa ostatecznego załatwienia wymiaru podatku uregulowana zostanie po dokonaniu odpowiednich pomiarów geodezyjnych i przeprowadzeniu postępowania wyjaśniającego w sprawie wywłaszczenia. Ob. Gawel omijała wcześniej Urząd Miasta i Gminy, kierując swe skargi do władz zwierzchnich. Inna sprawa, że ob. Gawel mimo tego pisma nadal uszcza podatki we wcześniej ustalonej wysokości. (...)

WIELOGŁOS

Jeszcze na marginesie odpowiedzi udzielonej ob. Grabanowi chciałbym nieśmiało zauważyć, że jeśli w nieznanych mi okolicznościach prywatni inwestorzy dewastowali Park Słotwiński przewożąc tamteży materiały budowlane, to fakt ten nie może chyba stanowić podstawy do dopuszczenia do dewastacji obiektów zabytkowych przez inne osoby prywatne. Niekoniecznie

bowiem ewentualne, naganne działanie jednym musi stwarzać szkodziwo precdensy dla innych. Swoją drogą, o ileż tamtejsze warunki, konfiguracja terenu, jeżeli nie umożliwia, to bardzo utrudnia przewóz materiałów przez park w sytuacji, gdy istnieje inny dogodny dojazd [...]

WLADYSŁAW SIKORSKI
naczelnik miasta i gminy Krynica

Początek sprawy

W związku z prowadzoną na łamach „Dunajca” ożywioną dyskusją na temat krynickich zabytków pragnę złożyć kilka istotnych, moim zdaniem, wyjaśnień, szczególnie dotyczących zagospodarowania obiektu w Parku Słotwińskim.

W latach 1976–77 z inicjatywy Komitetu Miejskiego PZPR podjęto szeroką kampanię prasową mającą na celu ratowanie zabytkowej części starej Krynicy. Program zaakceptowany przez Sesję Miejskiej Rady Narodowej przewidywał przekazywanie różnym gestom, w tym także prywatnym, obiektów zabytkowych celem ich rewitalizacji i przywrócenia funkcji użytkowych. Zabiegi te przyniosły dość nagle efekty, sprowadzające się do formalnego przekazania przez Orbis „Witoldówkę” na rzecz WPGT oraz podpisania wieloletniej umowy dzierżawnej przez naczelnika z jednym z zgłaszających się w tym czasie inwestorów ob. Romualdem Stefanów. Te sprawy powinien pamiętać ówczesny sekretarz Komitetu Miejsko-Gminnego w Krynicy, tow. Józef Poręba, nie może natomiast pamiętać ob. Aleksander Zabiński, dyrektor oddziału FWP, który przybył do Krynicy znacznie później. Twierdzi on wprawdzie, powołując się na załogę (to obecnie modne), iż FWP „wielokrotnie zwracała się do naczelnika

o przekazanie obiektu w Parku Słotwińskim”, ale to nieprawda.

Problemy do dziś nie rozwiązane, to między innymi opóźnione budownictwo mieszkaniowe, funkcjonowanie komunikacji, handlu i usług, zaniedbana infrastruktura komunalna, ochrony środowiska, brak miejsc w żłobku i przedszkolach, warunki pracy załóg.

Czy dyskusja o odnowie w Krynicy ma się sprowadzać wyłącznie do odnowy zabytków?

Na zakończenie chciałbym poinformować ob. Władysława Garbana, kto kogo zapędził w koki róg (nr 5 „Dunajca” art. pt. „Zagrożenie dla Parku Słotwińskiego”). Otóż długoczną umowę dzierżawną (a nie sprzedaż) na Ptaszynie podpisał z ob. R. S. ob. naczelnik Władysław Sikorski, również naczelnik Sikorski pozytywnie zaopiniował wniosek inwestora o dotację do ministra kultury.

PS.: Pana Józefa Citaka przepraszam, gdyż zdaje sobie sprawę, że listem tym nie wniosłem wiele w dzieło obrony mecenasów piękna, kultury i sztuki Krynicy. Nie oczekuję też od pana odpowiedzi na pytanie, kto chciał podjąć i popić za frajer w związku ze sprawą Parku Słotwińskiego.

NORBERT POŚLEDNIK
były naczelnik miasta i gminy Krynica

Szansa dla obiektów zabytkowych

W obrębie uzdrowska zachowały się wyraźne zespoły zabytkowe, które wymagają odnowy i właściwego zagospodarowania, a mianowicie:

- a) Historyczne centrum uzdrowskie (Deptak wraz z Janówką) z najstarszymi budynkami oraz parkiem, rozciągniętym na stoku Góry Parkowej;
- b) Zespół tzw. „willi ozdobnych” przy Bulwarze Dietla;
- c) Zespół willi przy ul. Kościuszkowej o charakterze pensjonatów;
- d) Teren Parku Słotwińskiego z pawilonem źródła słotwińskiego i dawnym pawilonem kawiarniano-koncertowym.

Zachowanie wszystkich zespołów zabytkowej architektury było przedmiotem dyskusji i sporów w latach ubiegłych. Stara zabytkowa zabudowa zwyciężyła w walce z architekturą współczesną, została wpisana do rejestru i oddać chroni jej prawo. Mimo to rewitalizacji do tej pory nie rozpoczęto. Powaznym problemem jest wykwatowanie lokatorów, co wiąże się z zabezpieczeniem dużej ilości mieszkań. Gdy zaś obiekt jest już wykwatowany, cykl przygotowania do remontu jest tak długi, że projekt odpowiada już aktualnemu stanowi technicznemu budynku.

Użytkownik „Witoldówki” (Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Gospodarki Turystycznej w Nowym Sączu) i wykonawca prac remontowych (Zakład Budownictwa Turystycznego) zaproponowali w marcu br. zmianę technologii, która wymagała wprowadzenia niewielkich zmian w dokumentacji, a jednocześnie stwarzała możliwość prowadzenia prac przez przedsiębiorstwo, nie mające doświadczenia w tego typu pracach, a jednocześnie obciążałaby koszty remontu.

Wychodząc z założenia, że „Witoldówka” stanowi jedno z zasadniczych ogniw zespołu zabytkowych willi przy ul. Dietla, bez którego ów zespół straciłby swój niepowtarzalny walor, wyrażałam zgodę na segmentowe odtwarzanie obiektu z zastosowaniem wszystkich elementów zewnętrznych i wewnętrznych, zniszczonych w małym stopniu, po ich uprzednim odtworzeniu. Koncepcja ta, przedłożona Ministerstwu Kul-

tury i Sztuki, zyskała jego akceptację. Byłam w „Witoldówce” kilkakrotnie, również w roku bieżącym. Z chwilą przystąpienia WPGT do remontu w obiekcie znajdowały się grzejniki, armatura i nowe podłogi, które można ponownie wbudować. To samo odnosi się do klaki schodowej i stolarki drzwiowej wewnętrznej. Znaczna część szalowania zewnętrznego i detali po odtworzeniu i uzupełnieniu winna wrócić na swoje miejsce.

Zastanawiając się nad ekonomiczną stroną tej sprawy obliczyłam, że koszt budowy nowego domu o kubaturze „Witoldówki” byłby o wiele milionów złotych wyższy niż renowacja tejże. Zadać więc sobie pytanie — komu i dlaczego tak bardzo zależy na rozebraniu „Witoldówki”?

Jedną z form ratowania obiektów zabytkowych o niewielkiej kubaturze, a nie mających użytkownika, jest przekazanie ich do zagospodarowania przez osoby fizyczne, z adaptowaniem na cele użytkowe, zaangażowaniem środków własnych użytkownika i dofinansowaniem Ministerstwa Kultury i Sztuki. Na tej podstawie naczelnik miasta i gminy Krynica przekazał w użytkowanie i wydzierżawił Pawilon Słotwiński, a Wojewódzki Konserwator Zabytków zatwierdził, że stanowiska konserwatorskiego, projekt remontu części zabytkowej i projekt budowy zaplecza, jako nie budzące zastrzeżeń pod względem merytorycznym. Zapewniony został również nadzór konserwatorski nad całością prac. Sądzę, że gdyby w roku 1977 obiektu nie przekazano osobie prywatnej, która natychmiast podjęła prace związane z jego remontem, Pawilon Słotwiński, niszczący od wielu lat, prawdopodobnie już nie byłby dzisiaj istniał. Mówię to nie bez podstaw. Jest na terenie województwa nowosądeckiego szereg obiektów zabytkowych, które niszczą, czy choćby zająz w Nowym Targu czy willa „Kazimierz” w Rabce.

Popozostawienie „Romanówki” w Krynicy, jak to zaproponowali czytelnicy „Dunajca” w swych listach — jest szkodliwe. Propozycja przeniesienia jej do skansenu wynikała stąd, iż dawała temu obiektowi szansę przetrwania. De-

O KRYNICY

czyż, dotycząca pozostawienia obiektu w Krynicy, zależeć będzie od szybkiego określania lokalizacji, zabezpieczenia środków i wykonawstwa. Należy nadmienić, że stan techniczny „Romanówki” niewiele różni się od stanu „Witoldówki”.

Podsumowując, pragnę powiedzieć: jest program rewitalizacji Krynicy,

dokumentacja konserwatorska, ogólny plan zagospodarowania, jest zaangażowanie i sentyment części mieszkańców, obowiązki ochrony zagwarantowane ustawą, a równocześnie wstrząs zagrożenie zabytków — ze strony innych mieszkańców.

MALGORZATA BIEDRON
Woj. Konserwator Zabytków

Umowa zobowiązuje

„Romanówka”, „Witoldówka”, „Ptaszarnia” i wiele innych obiektów zabytkowych — mają już długą historię zabiegów o uratowanie. Zapoczątkowała je nieodżałowanej pamięci pani dr Hanna Pienkowska, były Wojewódzki Konserwator Zabytków w Krakowie. Opracowany z Jej inicjatywy i przy dużym współudziale smutny raport o stanie Krynicy drewnianej — przemawiał do władz i do społeczeństwa już w pierwszych latach minionej dekady. Materiały te opublikowano w 1973 r. Jakób wtedy nie było słyhać o społecznych inicjatywach, takich jak obecna, w sprawie „Romanówki”. Nikt się wówczas nie kwapił z podjęciem remontu tej pięknej willi, chociaż jej tragiczny stan rzucał się w oczy każdemu. Ówczesny właściciel — Wojewódzki Związek Spółdzielni Mieszkaniowych w Krakowie — chciał zbudować na tej działce swoje sanatorium i dać do rozbiórki obiektu. Nie budziło to zastrzeżeń mieszkańców Krynicy. Pan inż. arch. Ryszard Nachman pisze, że w październiku bieżącego roku dowiedział się przypadkowo o zamiarach władz konserwatorskich w stosunku do „Romanówki”. A tymczasem decyzja o przeniesieniu obiektu do skansenu w Nowym Sączu — początkowo nawet tylko czasowo — została podjęta w 1973 roku. Czyżby przez tyle lat była tajemnicą? Stanowiło to wtedy jedyną szansę ocalenia obiektu. Ostateczność, jaką jest zawsze dla konserwatora translokacja do skansenu, zachodziła już wówczas. Można to udowodnić. I trudno uwierzyć, że w Krynicy wiedzieli o tym tylko zagrożeni eksmieszkańcy. Fakt, że „Romanówka” do dzisiaj stoi na swoim miejscu — to odrębna sprawa. Jak zwykle w takich przypadkach, nie było po prostu mieszkań zastępczych dla lokatorów. Sprawa rozmyśla dodatkowo późniejsza reorganizacja administracji terenowej. Ale Muzeum Ołgiewo w Nowym Sączu nie próżnowało; gotowa jest pełna

dokumentacja architektoniczno-konserwatorska na przeniesienie i zaadaptowanie „Romanówki” dla potrzeb administracyjno-socjalnych Sądzieckiego Parku Etnograficznego. A gdy zaczął się ruch odnowy — to zresztą w „Solidarności” pracownicy Muzeum jako pierwsi wysunęli postulat jak najszybszego zajęcia się umierającym krynickim pensjonatem.

Cieszę się, że „Romanówka” zyskuje szansę pozostania *in situ*. Chylę czoła przed inicjatywą krynicką. Będę, szczerze uradowany, jeśli za pięć lat przeczytam o otwarciu Domu Nikifora w przestawionej Romanówce.

W kontekście zmiennej losów „Romanówki” i tragicznego wręcz casusu „Witoldówki” — paradoksalna wydaje mi się sprawa zabytkowej „Ptaszarni” w Parku Słotwińskim. Tak się składa, że miałem styczność z panem Romualdem S. — chociaż raz tylko, na samym początku „jego” sprawy. Jako ówczesny pracownik Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu uczestniczyłem we wstępnych rozmowach, jesienią 1976 roku. Rozmowy dotyczyły wyrażonej przez tego pana gotowości wykupienia i odremontowania jakiegoś obiektu zabytkowego w województwie nowosądeckim, z równoczesnym zaadaptowaniem na lokal gastronomiczny. Inicjatywą pana Romualda S. wychodziła naprzeciw wcześniejszej akcji wspomnianej na początku dr Pienkowskiej. Akcja ta polegała na przekazywaniu zagrożonych zagładą obiektów zabytkowych w ręce różnych inwestorów-mecenatów, w tym również prywatnych, którzy wyrazili gotowość ich odremontowania własnym sumptem z równoczesnym przystosowaniem do swoich potrzeb — w granicach, określonych przez Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. W jednej czwartej kosztów takich przedsięwzięć partycypowało, na mocy Uchwały Rządu — Ministerstwo Kultury i Sztuki) Pawilon w

Słotwinach stał wtedy opuszczony, zniszczony, nikt nie kwapił się do jego remontu. Pan Romuald S. zadeklarował ewentualne objęcie tego właśnie obiektu — i zostało to przyjęte z zadowoleniem przez władze, zarówno miejskie, jak i konserwatorskie.

Później straciłem tę sprawę z oczu, ponieważ na wiosnę 1977 roku były wojewoda nowosądecki wyrzucił mnie z pracy za bezkompromisowe stanowisko, jakie zajęłem w sprawie pewnej zabytkowej plebanii. Myślę jednak, że decyzja, podjęta przez ówczesnego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Nowym Sączu — była słuszna. Przekazanie pawilonu słotwińskiego do adaptacji na prywatny lokal mieszkalno-gastronomiczny stanowiło rozsądny kompromis pomiędzy realnymi wówczas możliwościami uratowania obiektu od całkowitej zagłady — a ortodoksyjnymi założeniami konserwatorskimi. Gdyby nie ten kompromis — pawilon zapewne podzieliłby los starej plebanii i wielu innych zabytków. Pan Romuald S. zgodził się „Ptaszarnię” przejąć i zaadaptować, co było wtedy rozwiązaniem bardzo korzystnym. Sposób, w jaki adaptacja została przeprowadzona od strony realizacyjnej i projektowej — to całkiem odrębna sprawa. Opinie w takich przypadkach muszą być podzielone. Jako profesjonalista widzę jednak sprawę inaczej, aniżeli korespondenci „Dunajca”. Nie ma obiektów zabytkowej architektury, szczególnie drewnianej, w której po remoncie pozostawałoby 100% zabytkowej substancji.

Przykładowo remontów zabytków architektury, w których dokonano mniej lub bardziej dyskusyjnej przebudowy — jest dużo. Osobiście nie mam pretensji ani do formy rozbudowy pawilonu w Słotwinach, ani też do tego,

że z zabytkowej wartości obiektu pozostało kilka czy kilkanaście procent. Tak samo można spierać się co do jego nowej funkcji gastronomicznej. Nie rozumiem na przykład, dlaczego niektórzy mieszkańcy Krynicy w przebudowanej „Ptaszarni” widzą w przyszłości najpodlejszą, zaplącaną knajpę?

Doprawdy, gorzyc zbiera. Nikt nie chce brać się za odnawianie zabytków zniszczonych, ale kiedy ktoś już się weźmie do roboty, a efekty staną się widoczne — wówczas podnosi się wrzawa! Znajdują się „mecenasi”, którzy na różne sposoby, godne i niegodne, zabiegają o przejęcie obiektu, w którym najcięższe roboty zostały wykonane nie ich rękoma ani staraniem. Tani kosztami chcą mieć przydający prestiżu budynek, a jeszcze do tego głoszą się wielkimi miłośnikami zabytków... Albo też rozmaici malkontenci co to sami nie... i drugiemu też nie dadzą — zaczynają krytykować wszystko od podstaw. Pod pretekstem, że zasadnicze decyzje podejmowano bez ich udziału, dążą do zniszczenia każdej pozytywnej inicjatywy. Obawiam się, że działania takie mają właśnie miejsce w przypadku Pawilonu Słotwińskiego w Krynicy.

A na zakończenie chciałbym przypomnieć starą, łacińską zasadę: *pacta sunt servanda*, co znaczy — układy zawarte obowiązują. Jeżeli układ pomiędzy panem Romualdem S. a Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków oraz naczelnikiem miasta i gminy Krynica został zawarty w majestacie prawa — to podważanie go teraz byłoby bezprawiem! Nazywając rzecz po imieniu — byłoby to po prostu tępą i niebezinteresowną złośliwość.

mgr inż. arch. WOJCIECH ŚLIWIŃSKI

Nie krzywdzić!

Józef Citak w notatce „Jeszcze jeden tyk krynicki” („Dunajec 6”) wprawdzie pod kryptonimem, ale jednoznacznie wypowiada się na temat społecznej działalności prezesa Zarządu Miejsko-Gminnego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Krynicy, ob. Władysława Kita. Cytat: „W Krynicy do dziś nie ma fuchowca plastyka, a są jedynie pseudoplastyki, którzy chcą tylko zarobić — jak np. „knajpiarz”, który jest jurorem twórczości dziecięcej”.

Czujemy się w obowiązku wyjaśnić ob. Józefowi Citakowi, że ob. Władysław Kita udziela się całkowicie społecznie w wielu organizacjach na terenie miasta i gminy, również w TPD. Do chwili obecnej za swą pełną oddaną działalność nie przyjął ani jednej nagrody. Wiele swoich prywatnych środków finansowych przeznacza na

wspomnianą działalność, m.in. funduje nagrody w konkursach, zakupił znaczną część wyposażenia do biura TPD itp. Za jego staraniem powstała Poradnia Społeczno-Wychowawcza w Krynicy. Był organizatorem konkursu rysunków dziecięcych z okazji Festynu w Dzienniku, nie zaś jego jurorem. W skład jury weszli nauczyciele zajęć plastycznych z poszczególnych szkół oraz zaproszeni działacze TPD.

Nieodpowiedzialni ludzie wyrządzają społeczeństwu wiele złego. Krynickie dzieci zalicza do nich Józefa Citaka, jeżeli z jego powodu ob. Władysław Kita wycofa się z działalności TPD.

DZIAŁACZE TPD:

Jadźma Chodźkiewicz, Halina Ciechoń, Stanisław Cwierniewicz, Monika Gawlik, Stanisław Piasecki, Maria Zukowska.

Najpierw cztery pytania naczelnika. Odpowiadam

1. Oddanie zabytkowego pawilonu w Parku Słotwińskim ob. Romualdowi Stefanowowi dokonało się w 1977 roku. Z ramienia Urzędu Miasta i Gminy występował ówczesny zastępca naczelnika, Władysław Sikorski. On to zawierał umowę, nie zaś enigmatyczna „administracja”.

2. Czy ob. Stefanów prawidłowo rewitalizuje pawilon i czy go zdewastował? Odpowiedź na to pytanie została udzielona przez fachowców, przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki, którzy parokrotnie wizytowali budynek. Pozytywny wynik wizytacji był niezbędnym warunkiem otrzymania dotacji. Również Wojewódzki Konserwator Zabytków nie wnosił nigdy zastrzeżeń odnośnie do działalności ob. Stefanowa.

3. Naczelnik ma wątpliwości, czy jest bezwzględnie obowiązany realizować dotację Głównego Konserwatora Zabytków PRL. Informujemy więc, skoro naczelnik o tym nie wie, że terenowa władza administracyjna musi prowadzić politykę zgodną z założeniami ochrony zabytków w naszym kraju i realizować linię Generalnego Konserwatora Zabytków PRL.

4. Pytanie to jest równoznaczne z pytaniem: czy celowe jest kończenie remontu, czy też dewastacja obiektu. Moim zdaniem celowe jest kończenie remontu.

Jeszcze kilka słów. Naczelnik Sikorski pisze o „Józefie nieokreślonej, nieprawidłowości w prowadzeniu robót budowlanych”. Musiały być one bardzo poważne, a nie spostrzeżone przez fachowców, skoro na ich podstawie naczelnik zdecydował się przekroczyć swoje kompetencje i wystąpić o skreślenie pawilonu z listy zabytków. Moim zdaniem istnieje tu jedna, poważna nieprawidłowość: prace remontowe ustały, i to z winy naczelnika. Co dziwniejsze, naczelnik przyznaje kilka linijek poniżej, że na sprawach konserwatorskich się nie zna. Niechaj więc wreszcie polegać na zdaniu kompetentnych w.

Pod koniec swego listu ob. naczelnik remont nazwa dewastacją. Twierdzi również, że konfiguracja terenu bardzo utrudnia przejazd przez park do

ZAMIAST KOLEJNEGO ARTYKUŁU

budowanych na jego zapleczu prywatnych willi. Ponieważ trudno mi sobie wyobrazić, by naczelnik nie znał topografii swego miasta, stwierdzam, że jest to z jego strony kolejna próba wprowadzenia w błąd opinii publicznej.

W pierwszym artykule „Pozdrowienie z Krynicy” zasygnalizowałem jedną tylko nieformalność tamtejszego Urzędu Miasta i Gminy. Sprawa, jak wiadać, rozrosła się. Doprowadzenie do jej pozytywnego zakończenia należy już nie do nas. Prosimy wojewodę nowosądeckiego oraz Generalnego Konserwatora Zabytków PRL o zajęcie stanowiska.

Pan Franciszek Grelecki jest weteranem obu wojen światowych. Posiada następujące odznaczenia: krzyż „Za waleczność 1914–1918”, Virtuti Militari V klasy, czterokrotnie Krzyż Walecznych, Krzyż Powstania Górnosląskiego. Uczestniczył również w Powstaniu Warszawskim i był więźniem stalgau. Jego żona Jadwiga jako harcerka została ranna podczas akcji sanitarnej w 1939 roku i utraciła wzrok w 95%. Mają czworo dzieci. Dom, w którym mieszkają (Kraszewskiego 58), został im przydzielony przez Prezydium MRN w 1959 roku i już wówczas nadawał się do rozbiórki. Był więc, wedle zapewnień władz, lokalem chwilowym, zastępczym. Mieszkają tam nadal. Obecnie dom się wali, a przebywanie w nim grozi niebezpieczeństwem. Pierwsze mieszkanie, które Greleckim zaproponowano, było małe, zawilgocone, bez żadnych wygód i na trzecim piętrze. Nie przyjęli. Wobec czego naczelnik Sikorski przydzielił rodzinie Greleckich piękne, komfortowe, trzypokojowe mieszkanie... do którego nie miał ani kluczy, ani prawa, i które było już zajęte. Równie dobrze mógłby im dać w użytkowanie na przykład Wawel. Ale na tym nie koniec. Teraz naczelnik czuje się zwolniony od

odpowiedzialności za los Greleckich, bo przecież dawał im piękne mieszkanie, a oni nie przyjęli... Tak właśnie odpowiada na pisma różnych instytucji, do których zrozpaczeni staruszki i ich dorostłe już dzieci zwracają się z prośbą o interwencję.

Alicję i Stefana Bochenków z Mochacki Wyżnie trudno nazwać ludźmi zamożnymi: mają zarabia 2850 złotych plus 580 zł dodatku rodzinnego, żona zajmuje się dziećmi. Mieszkali w pokoju o powierzchni dziewięciu metrów kwadratowych. Dach dziurawy, ściany mokre, brak elementarnych wygód. Od stycznia 1977 roku ubiegali się o mieszkanie, bez skutku. Zrozpaczeni chorobą dziecka zdecydowali się na krok desperacki: zajęli opuszczone od dłuższego czasu wolne mieszkanie w Mochacku — zresztą zawiadamiając o tym uprzednio sołtysa, Urząd Gminy i Milicję. Trudno dziennikarzowi pochwalać takie postępowanie, ale przecież mimo wszystko dobrze się stało, że Bochenkowie zostali „dzikimi lokatorami”, ponieważ w trzy tygodnie później dach ich dawnego „mieszkania” runął. Na szczęście nie było tam nikogo, gdyż w przeciwnym razie nie obyło się bez śmiertelnego wypadku.

Opowiedziano mi w Krynicy kilkanaście równie dramatycznych, często tragicznych historii mieszkaniowych. To oczywiście znikomy procent tego, co się dzieje — ale dość, by zapytać, jaki program wyjścia z tej sytuacji posiada miejscowa administracja.

ANTONI KROH

OD REDAKCJI: Przedstawiliśmy w kilku numerach „Dunajca” pogmatwane krynickie sprawy, widziane oczyma różnych ludzi. Niebawem zaprezentujemy stanowisko redakcji, wolne od emocji i — mamy nadzieję — konstruktywnie służące przyszłości zdrowiska i jego mieszkańców.

Szedł samotnie z dużego kościoła na Zadni. Nie takie przeżycia miał za sobą. Mimo trzydziestu trzech lat życia liczył się już w gronie wytrawnych alpinistów. A jednak śmierć dopadła go właśnie tutaj: nie w Alpach, nie na Kaukazie, lecz właśnie w bliskim sercu Tatrach.

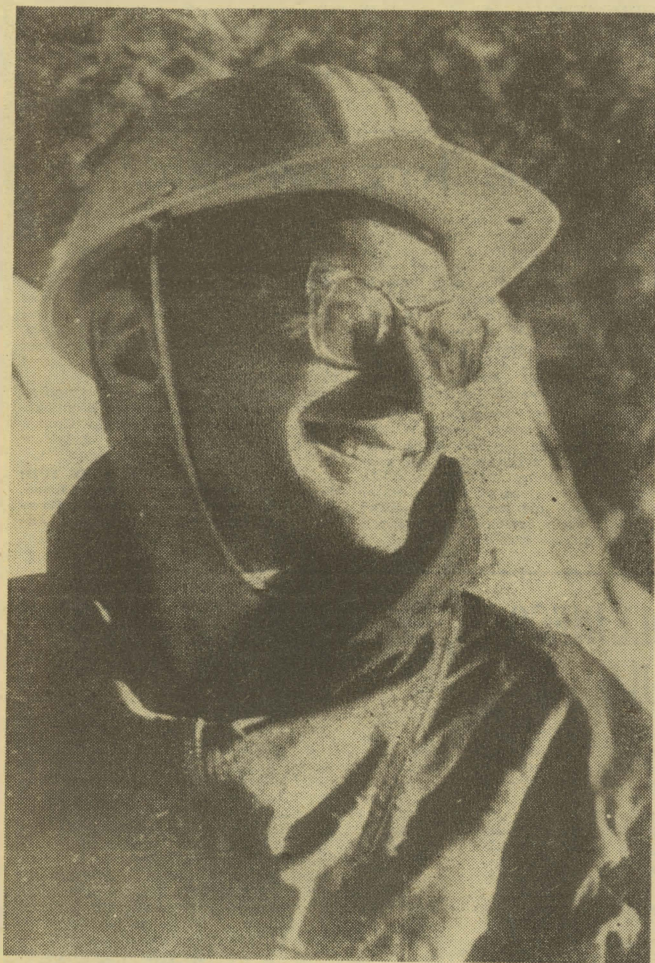
Był z nią oswojony. Tomasz Lubieński napisał wręcz, że śmierć jest najwinniejszym partnerem wspinaczek Długosza: „żartuje z niej, prowokuje i unika po mistrzowsku, oszukuje o centymetry, ulamki sekund”.

Problemy literackie JANKA DŁUGOSZA również nasycone są świadomością nieustannego obcowania ze śmiercią. Czarne motyle tatrzańskie, kaukaska „płica”, przedziwne zbłędy okoliczności, przecucia — tworzą klimat Jankowego zafascynowania sprawą nieobłą zresztą i wielu innym ludziom gór. W tym właśnie klimacie tragiczne zdarzenie sprzed lat wydaje się spójne z całą biografią Długosza. Tak to odczuwali jego druhowie serdecznie pisząc, że zapewne „bawił w jakimś prywatnym rajku wspinaczkowym, gdzie haki śpiewają różnymi głosami, lawiny uspokajają się pod czarodziejskim dotknięciem czekana jak wielkie białe zwierzęta, gdzie anielice roznoszą po białkach pieniste jasne piwa”.

Z „Komina Pokutników”, który ukazał się już po owym fatalnym upadku w siedemdziesięciometrową przepaść, wybrałam fragment dający wyobrażenie o sposobie myślenia Janka: kawałek jego filozofii, okrucich emocji... Warto wglębieć się w myśli i uczucia spisane przez człowieka tak mocno zadowolonego w naszych górach.

BEATA DEMBOWSKA

Wierny górom



Tylko sprawy beznadziejnie ważne się tego, by o nie walczyć! Każdy prawdziwy alpinista marzy w głębi serca o wielkiej probie...

Ale do tego trzeba wiedzieć, kiedy nadchodzi ten jeden wybrany dzień, moment — na który złożyło się setki, tysiące lat, okoliczności, spłotów wydarzeń, przypadków i pomysłów... Trzeba go dobrze wykorzystać — nie wolno popadać w nałóg.

Rok temu błędziłem w zadymie pod szczytem Niżnych Rysów i stawia-

łem niezliczone ilości trudnych kroków. Śnieg zatykał oddech — jedna pomyłka, a coś, co było kiedyś moim ciałem, leżałoby u stop ściany. Każde udane postawienie stopy, każdy dobry chwyt wymagał łęk. Człowiek od czasu do czasu musi popełnić błąd. Jeśli jest asekurowany — kończy się to zwykłym niegroźnym. Lecz jeśli wspinia się sam?

Zbudziło mnie słońce. W pokoju nie było nikogo, zegarek pokazywał siódmą trzydzieści. „Niech to diabli — ale zaspałem! Już chyba za późno...” Ubrałem się szybko, wziąłem czekana, rękawiczki, do kieszeni skafandra włożyłem trochę cukierków, suszonych jabłek i w drogę...

Małeńkie tyłki drzwiczki otworzy-

ale schronisko jeszcze spało. Ci, co mieli gdzieś iść, tkwili już dawno w ścianach. Mroz szczyptał w uszy, pogoda wymarżona — bez jednej chmurki. Włożyłem raki i zamierzałem zejść schodkami na staw, kiedy poczułem dziwny chłód na skroniach. „Psiakrew! Zapomniałem czapki!”. Wracałem ostrożnie po schodach, znów pełen wątpliwości. A może jednak nie iść? Stary taternicki przysąd twierdzi, że nigdy nie należy wracać.

Postukując czekanem przecinałem równym krokiem lśniąca taflę. Zamrażnięty na skłanie lód skrzypiał przyjemnie. W połowie zwróciłem uwagę na dziwny stukot lewego raka. Przystanąłem, jak koń do podkucia podniosłem nogę i — nos wydłużył mi się. Kółeczko łączące obie części pękło i jasne było, że zupełna kraksa to tylko kwestia czasu. Spojrzałem na zegarek: ósma trzydzieści — jeśli teraz zawrócę, to już nie pójde! I wtedy, po raz pierwszy tego dnia, postąpiłem całkiem niepoczytalnie. „A może się nie rozleci?” — pomyślałem, i poszedłem dalej.

W połowie dolnego kociołka spojrzełem na widoczny już z daleka komin. Z góry bardzo niezdarnie schodziła dwójka ludzi. Jeden spuszczał właściwie drugiego na linie. Przyłożyłem dłoń do ust:

— Hej! czemu schodzicie?
— Jurek zwiechnął nogę! Co tu robisz?

— Jak zwiechnął?
— Poleciał! Gdzie idziesz?
— Idę! Zaraz pogadamy...

Zrobiłem może dziesięć kroków, kiedy poślizgnąłem się i tylko wbiły dłoń czekana uchwycił równowagę. Przednia część raka zawisła luźno na taśmie obok buta...

Przystanąłem wściekły, wszystko spryskiwało się przeciwno mnie; zostaję sam na ogromnej ścianie, w popustych rakach. Nie wolno mi iść dalej!

Ale rośnie też upór i pragnienie zrobienia tej wspinaczki wbrew całemu światu.

Wbiłem czekan, przykucałem na śniegu i zabrałem się do reperowania raków.

Związałem obie części kilkakrotnie sznurówką i zacząłem przynocowywać do buta. Siedziałam na razie bardzo mocno. Otrząsnąłem ze śniegu ręce, ubrałem rękawice i ruszyłem w górę. W kilka minut byłem przy nich.

— Skąd spadłeś, z górnego lodospadu? — zapytałem.

— Z dolnego, wyszedł może metr i spadł — wtrącił Staszek.

— Asekurowałeś z czekana?

— Nie, wbił przedtem hak...

— Dlaczego spadłeś?

— Lodospad cholernie odpycha, wyjechała mi noga.

— A ty gdzie idziesz? — zapytał Staszek.

— Na północną.

— Czy ty zgłupiał? Popatrz na lodospad, stąd dobrze widać, pierwszy może przejdiesz, ale drugi?

— Drugi można obejść filarkiem.

— Robieś ten filarek?

— Nie.

— No to lepiej daj spokój, on w lecie jest nadzwyczaj trudny...

— Możliwe — powiedziałem — ale podejdę bliżej i zobaczę...

— Tylko nie wylaz! Nawet jak przejdiesz pierwszy próg, nie zleżesz, on jest zupełnie przewieszony!

— Dobra, A wy dacie sobie radę?

— Jasne! Coś ty?

— No to cześć!

— Wracasz zaraz?

— Tak, jeszcze was chyba dogonię.

Nad sobą miałem gładki, zielonkawo lód. Było tego z osiem metrów; spływał grubym wypukłościami, jakby zróżnił i poskręcane, pokryte grubym szklawem pnie drzew. U samej góry nieco się przewiesział. Nie miałem ochoty tak od razu — nawet bez spróbowania — wracać. „Eee, zobaczę, jak mi pójdzie — pomyślałem — będę wyrabiał wygodne stopnie i chwyt, a przy najmniejszych oznakach zmęczenia schodzić z powrotem. W ten sposób dotrę bezpiecznie do ostatniego lodowego okapu”.

Stojąc pewnie rakami w głębokich stopniach, wkładałem jedną rękę po łokieć w wyrąbany otwór, drugą — z uporem — kulem następny szczebel drabinki. Lód był twardy i ostry czekana odpychało z trudem małeńkie kawałeczki. Kiedy czułem odtrętnienie i ból w mięśniach, schodziłem spokojnie w dół. Trwało to chyba dość długo, rosła drabinka stopni, ale im wyżej, tym więcej ciało odychało się od pionu. W końcu pozostała już tylko przewieszka.

Tu musiałem zaryzykować, dokonać ostatecznego wyboru: iść dalej — czy wrócić? Decyzja jest zawsze trudna,

polem trzeba walczyć do końca. Trzeba zawieźć ręką cały ciężar ciała, wystukiwane najdrobniejście oparcia dla nóg i skrócić do minimum czas, kiedy wyraźnie czujemy, że grawitacja to nie naukowa fikcja. Na tym właśnie polega mistrzostwo; tak rozplanować sobie wszystko, żeby sam moment zawieszania w przestrzeni — był krótki jak blysk oka. Trzeba do tego spokoju, ale i zdecydowania, trzeba ryzykować podciągnięcie się nawet na niepewnych chwytach. Wahanie może okazać się zgubne.

Prostując się nad pierwszym lodospadem, czułem, że wielka gra rozpoczęła się. Nad głową kilkanaście metrów lodu spiętrzonego w fantastyczne kształty — przypominała do złudzenia zamrażniętą fontannę. O przejściu nie można nawet marzyć. W prawo kusił trawersik na zeberko. „To jedyna droga” — pomyślałem. Trawers nie był trudny, znów zobaczyłem Morskie Oko, a zarazem blisko morderczy, uciekający ku progowi śnieg. W lewo odstraszała ciemność za progiem lodospadu. Przytuliłem się do stołu i popatrzyłem w górę. Zeberko nie pozostawiało żadnych złudzeń, przypominając najgorsze momenty z mojej wspinaczkowej kariery. Postanowiłem trochę oswięcić się z tym widokiem. „Nic nagłe, nie szybko!” — pomyślałem. Zjadłem kilka kostek cukru i próbowałem skierować myśli z mglistych, nieprzyjemnych refleksji na tematy czysto techniczne. „Jakby tu iść? No tak, dwa metry przykro w górę, potem chyba dość dobry stopień, a potem — zobaczmy...”

To co nastąpiło później, zapamiętałem jako piękną, klasyczną walkę nie tyle ze skałą, ile z własną słabością i leniem. Nigdy chyba mój umysł nie działał tak zimno i precyzyjnie, nigdy więcej nie miałem wrażenia, że jestem idealnie zrównoważonym autorem, który świetnie wie, co w danej chwili ma zrobić, i wykonuje to bezbłędnie... Tylko temu zawdzięczam, że nie spadłem! Proszę wyobrazić sobie ponad dwadzieścia metrów pionowych prawie, ołdżonych skałek, poprzerałanych małeńkimi trawkami. Teren niewątpliwie krancowo trudny, a co gorsza ryzykowny. Przez cały czas ani jednego dobrego chwytu, na którym mógłbym się — w razie obsuniecia nogi — utrzymać, a wszystkie stopnie tak niekorzystnie nachylone, że stopy opartaś dłużej — łapał skurcz. Kiedy zacząłem wspinaczkę, nie było już wyboru, każdy miesiąc, każda myśl, cały wysiłek woli koncentrował się już nie na tym, żeby ścianę przejść — ale żeby wyjść metr wyżej!

Wkrótce stwierdziłem, że jest to znacznie więcej, niż chciałem. Na takie ryzyko świadomie bym nie poszedł, postanowiłem więc, że jeśli przynajmniej raz stanę wygodnie — zawołam o pomoc. Ale równie dobrze mógłbym pragnąć helikoptera!

Poza tym sama gra zaczynała mnie wciągać. Czułem głęboką radość, że się nie boję, że nawet w takiej sytuacji potrafię zachować zimną krew. Robiłem wszystko jak ktoś obcy, niezbyt zainteresowany w wyniku, lub jakby pod ścianą rozpięta była siatka ochronna. Szedłem bardzo wolno, czułem długo w lodzie stopnie, wygrzebywałem z trawek mikroskopijne chwyt, kilkakrotnie przymierzając się do nowych zmian pozycji, kładłem nogę, znów ją zdejmowałem i dopiero kiedy byłem absolutnie pewny, że nie spadnę, robiłem następny krok. Jedno minimalne złe ustawienie nogi, jedno błędne obliczenie poślizgu lodu, jedno nieprecyzyjne wyważenie ciała — byłoby nie do naprawienia. Czas przestał istnieć, pełne dwie godziny przeleciały jak sekunda, zapomniałem o tym, gdzie jestem, kim jestem — zniknął cały świat, został tylko czterokończynowy automat, który uparcie nie chciał spaść z kilku chwytów i stopni...

Zakopane, Szczawnica – kto jeszcze?

TARNOWSKI TEATR W NOWOSĄDECKIM

Tarnowski Teatr im. L. Solińskiego, który często gości na obszarze 9-ciu województw, najchętniej odwiedza region mu najbliższy – Nowosądecki. Na pytanie skierowane w tej sprawie do dyrekcji teatru, otrzymaliśmy odpowiedź: „Podejmujemy każdą propozycję współpracy, niestety, prawie wcale nie otrzymujemy ich z województwa nowosądeckiego, jeździmy więc tam, gdzie nas potrzebują”. Nie mamy powodów nie wierzyć.

Według naszej orientacji chyba tylko Łomża i Suwałki mają mniejsze możliwości kontaktu ze sztuką teatralną niż region nowosądecki. Może więc Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego i placówki kulturalne Nowosądeckiego podejmą współdziałanie z sąsiedzką tarnowską sceną? Początek już zrobiono: od kilku lat na mocy umowy o stałej współpracy, tarnowski zespół artystyczny prezentuje swoje pozycje w zakopiańskim Miejskim Domu Kultury.

Na podobnych zasadach tarnowski teatr będzie odwiedzał w 1981r. Szczawnicę. Z ideą współpracy wystąpił dyr. Stanisław Zachwieja z Miejskiego Ośrodka Kultury w Szczawnicy. Podpisano z teatrem stałą umowę, ustalono repertuar sztuk na pierwszą połowę roku.

Inauguracja nastąpi 17 I br. (godz. 19.00) „Ślubami panienskimi” Aleksandra Fredry w reżyserii – Antoniego Baniukiewicza i scenografii Jerzego Gorazdowskiego. Spektakl odbędzie się w sali widowiskowej sanatorium „Górniki”. Natomiast 24 I (godz. 16.00 i 19.00) w sali „Malinowej” zostanie zaprezentowane widowisko, zbudowane z ballad i piosenek Bułata Okudźawy pt. „Czarny kot” (reżyseria – Ryszard Smołewski, scenografia – Maria Adamska).



Fragment „Czarnego kota” Bułata Okudźawy, w wykonaniu Mirosława Gawilińskiego, Mieczysława Ostroroga i Ewy Czajowskiej. FOT. CZESŁAW KNAPIK

Danuta Binek

Z proc. komisji ds. postulatów WRN

W SPRAWIE MIĘSA

W ostatnich kilku tygodniach problem, wokół którego nagromadziło się wiele emocji, był skup i ubój żywca. Rozważmy więc jeszcze raz, jak to właściwie jest z gospodowaniem mięsem na naszym terenie.

Od połowy listopada, jak zresztą co roku, obserwowano zwiększoną podaż bydła. Nie powinno więc być zaskoczenia, a jednak...

Z terenu dochodziły alarmujące sygnały o bydlę „przetrzymany” na punktach skupu w Mszanie, Bobowej, Korzennej. O tym, że zwierzęta tracą na wadze, że są to straty, które uderzają w każdego z nas. Padły pytania: dlaczego tak się dzieje, kto za to odpowiada, czy stać nas na takie marnotrawstwo?

W ostatnim okresie, przede wszystkim na skutek braków paszowych, skup bydła był o czterdzieści procent większy niż w roku ubiegłym. Dlatego nie zdolano wykorzystać tej olbrzymiej masy mięsa do poprawy zaopatrzenia naszego rynku?

Oto czym tłumaczono zaistniały stan rzeczy:

W województwie nowosądeckim są dwa zakłady mięsne: w Nowym Sączu i w Zakopanem oraz jedenaście ubojni podlegających WZSR „Samopomoc Chłopska”. Maksymalna zdolność uboju zakładów w Nowym Sączu wynosi 250 sztuk bydła dziennie lub 500 sztuk trzody, w Zakopanem 70 sztuk bydła lub 140 trzody, wszystkich ubojni – łącznie 420 sztuk bydła lub 600 sztuk trzody. Tyle dane liczbowe.

Rzeczywistość jest bardziej skomplikowana. Uboj w zakładach mięsnych jest limitowany głównie przez małą pojemność chłodzi do zamrażania mięsa; w Nowym Sączu wynosi ona 60 ton. Dodatkowe trudności stwarza żył stan taboru samochodowego do przewożenia zwierząt. W dodatku największe zakłady mięsne naszego terenu, nowosądeckie, od 10 lat starają się o przydział funduszy na przedłużenie hali ubojowej o dwadzieścia metrów. Dzięki kolejnym modernizacjom zwiększyły

moc przerobową z początkowej 40 sztuk trzody do dzisiejszej – 500 sztuk. Jednakże położenie zakładu w widłach Kamienicy i Dunajca uniemożliwia dalszą jego rozbudowę. W dodatku zakład stwarza poważne zagrożenie dla środowiska i żadne kary (a płaci co roku 850 tys. złotych) nie rozwiązują problemu. Utopią więc byłoby sądzić, że zakład zwiększy wydajność bez przedniej modernizacji. Czy zresztą w ogóle byłoby to wskazane? Co do zakładów w Zakopanem, nie należy liczyć na ich rozwój, bowiem podejmowane są działania mające na celu ich likwidację, ze względu na wyłącznie rekreacyjny i wypoczynkowy charakter terenu.

Dlatego jednak w tak małym stopniu wykorzystuje się istniejące już małe ubojnie? W NRD właśnie w nich pochodzi 54 procent mięsa. A w naszym województwie, niestety, z 11 pracuje tylko 9, a i te tylko na pół swej mocy przerobowej.

W Czarnym Dunajcu ubojują nie może pracować ze względu na brak ciepłej wody oraz oczyszczalni ścieków! Prace remontowe postępują powoli, ponieważ brak materiału.

W latach 1973–1974 oddano do użytku ubojnię w Gorlicach. Obiekt ten powstał w oparciu o zły projekt. Ubojnia tylko teoretycznie jest zmechanizowana, w praktyce żadne maszyny nie działają. Uboj odbywa się tylko ręcznie. Należy również zmienić całą kanalizację ze względu na zbyt małe przekroje rurek przepływowych. A swoją drogą, kto przyjął od budowlanych takich buble?

W Mszanie przez trzy lata tamtejsze władze, w obawie przed zatruciem środowiska, sprzeciwiały się uruchomieniu rzeźni. Zwalczone opory.

W Limanowej budowany jest obecnie nowy zakład chłodzi uruchomiony będzie w styczniu 1981 roku. Tymczasem byłoby trzeba wywozić nawet poza województwo, podczas gdy w sklepach mięsa brak.

Jeden moment wyrwał mi się bardzo wyraźnie w pamięci; opuściłem wtedy dość wygodny stopień i zastanawiałem się, czy niebezpiecznej, trudnej pozycji. Delikatnie, żeby nie stracić równowagi, uderzyłem dłońmi o boki, czekając na załadowaną trawkę, przygotowując oparcie dla nogi. Wtedy po raz pierwszy zjawili się ci ludzie.

Czasami na ulicy odwracamy się nagle pod wpływem czegoś wzroku albo wchodząc do ciemnego pokoju czujemy, że ktoś tam jest. Tak i ja po raz pierwszy tego dnia, poczułem coś koło siebie. Zwykle takie uczucie można logicznie wytłumaczyć – ale to, co owładnęło mną stojącego w akrobaticznej pozycji na filarku, przyszło chyba zupełnie z zewnątrz. Nie kojarzyło się z niczym, po prostu coś nieuchronnego stało tuż za moimi plecami...

Popatrzyłem w dół: pięćdziesiąt metrów powietrza, a potem twardy, zawrotny pędzący ku progowi stok. To chyba dlatego. Ale nie, najdziwniejsze było przekonanie, ba – pewność, że to nie chodzi o mnie...

Nie pamiętam poszczególnych chwil, poszczególnych chwytów i stopni. Powoli, bardzo powoli, zbliżałem się do kantu żeberka. Zostawał jeszcze skośny, ryzykowny trawers. Te kilka kroków trwało długo, ale kiedy po raz pierwszy od dwóch godzin stanąłem na wygodnej płaszczyźnie – nie mogłem uwierzyć, że to prawda. Na razie byłem bezpieczny. Drugi łodospad zostawał w dole. Z lewej strony biegł gładki śnieżyk, żleb. Odcinała mnie od niego stroma, opadająca w dół ścianka. „Niemożliwa do przejścia” – oceniłem od razu. Dwa metry wyżej zupełnie gładkie żeberko prawie się przewieszało – tak więc był to kres...

Otarłem sobie bezsilną wściekłość. Będą mnie ścigać i szanowni koledzy nie omieszkają mi zatruć życia co najmniej na rok. Zresztą to głupstwo, ale do końca pozostało tylko trzy metry – najgorsze mam za sobą – tylko trzy metry... prawie skoczyć. „Nie, nie można remisować wygranej partii, trzeba jeszcze raz wziąć się w garść!”

Spróbowałem schodzić. Dokładnie oglądając chwyt, stopierki i udało mi się zejść metr. No tak, ale dalej ścianka jest gładka – jak długo można grać w banque? Powiał zimny wiatr, zgrzane ciało parowało szybko – dygotałem już zupełnie wyraźnie. Zacząłem znów schodzić, posuwałem się jeszcze w dół, ścianka była tak trudna, że zdjąłem rekawiczki i cholernie marzyłem ręce. Jeszcze dwa metry do zbawczego śniegu... Ba, żeby on był miękki, a nie twardy jak kamień, tobym skoczył i już! Nie, nie wolno – za wielkie ryzyko... Zmarznięte palce nie czują chwytów – trzeba jeszcze raz wrócić.

Znów stoję na płaszczyźnie, włożyłem rekawiczki i biję dłońmi o uda rozgrywając palce. Łapczywie polikam cukier i suszone jabłka – od razu ciepło! W końcu jestem gotów – schodzę ścianką bez cienia wątpliwości; wiem, że teraz przejdę! Odchyliłem do tyłu ciało, raki zgrzytają po skale, ręce znają już prawie na pamięć drobne chwytaki. Tak... tak – teraz już O. ja! świetny chwyt – żebym to wcześniej wiedział! I wychylenie w tył. Nie widzę, ile mi jeszcze brakuje i wylutuję nogę do granicy możliwości. Wtem czuję delikatny opór i lekki chrzęst – przenoszę na nią ciężar ciała i rak zagłębia się w śnieg.

Może niełatwo w to uwierzyć, ale kiedy dorwałem się do dobrego firnu – reszta ściany przeleciała jak na skrzydłach. Wszystko było dziecinie proste i biegłem dosłownie w miejscach, gdzie kiedyś indziej skrzętnie bym się asekurował. W pół godziny dotarłem do siodełka filaru, kwadrans później kończyłem zachód. Dziwna historia: szło mi się doskonale, nie czułem trudności ani lęku, a jednak niesamowite wrażenie, które opanowało mnie na żeberku, trwało dalej.

Nic z tego nie rozumiałem; niebo było piękne, czasu miałem dość, skąd więc tak silne pragnienie powrotu i nieustanne napięcie?

Na wierzchołku popatrzyłem na zegarek: dwunasta pięćdziesiąt. Bezskutecznie usiłowałem odnaleźć puszkę z wyciątkami, rozglądałem się i porzyskiwałem wokół, czy nie zobaczę gościs w okolicy. Poleżałem trochę na stołcu, ale wciąż byłem nie w sosie. Czuję się jak człowiek świadomy tego, że za dwa dni czeka go niebezpieczna i bolesna operacja. Ja byłem właśnie w takiej sytuacji, z tą tylko różnicą, że nie wiedziałem, co to ma być za operacja... Coś gnało mnie w dół – chyba to samo, co zmusza szczyt do opuszczenia mającego zatonać okrętu!

Sytuację mogłoby rozstrząsać Gminne Spółdzielnie, ale i one borykają się z trudnościami. Zlecenia na dokonanie uboju w GS przychodzą dopiero w listopadzie, grudniu i styczniu. Zakłady mięsne nie podpisują z GS umów rocznych, a przecież spółdzielnie nie mają sezonowych pracowników. Poza tym fundusz płac masarni nie przewidywa uboju, a jedynie przetwórstwo. Dlatego jednak WZSR nie uzyskuje zgody na roczne umowy zlecone? Ponieważ istnieją obawy, że z powodu sezonowych braków żywca, szczególnie w lecie, przemysł kluczowy nie miałby w takich okolicznościach nie do roboty. Czy jednak przestój nie można byłoby wykorzystać na remonty, których nigdy nie za mało?

Tyle wyjaśnienia. Czy satysfakcjonują one ludzi, którzy, aby dostać kilogram mięsa, muszą godzinami stać w kolejce? Sądzę, że nie.

W obecnym roku przewiduje się spadek skupu żywca, o 30 procent w styczniu i 20 procent w lutym. Może wypadałoby więc pomyśleć o wykorzystaniu tego czasu na przebudowę i modernizację małych ubojni?

Kontrowersyjną sprawą jest również tłumaczenie się ograniczonymi możliwościami chłodniczymi. Można przecież natychmiast po uboju przewieźć mięso do sklepów – zwłaszcza w sądeckich warunkach cała operacja trwałaby zaledwie kilka minut! Dawne jatki działały właśnie na tych zasadach. Według Dyrekcji zakładów mięsnych sprawa rozbija się o przepis mówiący, że mięso do sklepów idzie nie w całości, ale w elementach. Nie wydaje się jednak, aby zmiana tego przepisu była niemożliwa.

W sumie mamy do czynienia z brakiem konsekwencji i koordynacji w działaniach poszczególnych instytucji. Z jednej strony – kto inny jest odpowiedzialny za ubój, kto inny za przetwórstwo, kto inny za transport, a jeszcze ktoś inny ustala limity. Z drugiej strony – mając gotowe, a nie wykorzystane ubojnie, myślimy o budowie nowych zakładów mięsnych w Nowym Targu.

Dunajec 7

GALERIA TWORCÓW LUDOWYCH

Wojciech Oleksy



WOJCIECH OLEKSY, to jeden z najwybitniejszych współczesnych rzeźbiarzy ludowych. Urodzony w 1903 roku w Paszynie koło Nowego Sącza, mieszkał tam przez całe życie. Gluchoniemy, nieśmiały, został przygarnięty przez brata, pomagając mu w gospodarstwie i w obowiązkach kościelnych.

Rzeźbić zaczął jako stary już człowiek, na początku lat siedemdziesiątych. Bywając na plebanii, lubił oglądać rzeźby i obrazy, przytłoczone tu przez paszyńskiego proboszcza, ks. Edwarda Nitkę, które bardzo mu się podobały. Głodził się wtedy po sercu i miłkował. Były to bodaj pierwsze w jego życiu doświadczenia obojętne dzieła sztuki — jeśli nie liczyć przydrożnych paszyńskich świątków.

Namówiony przez księdza, w 1971 roku wziął udział w konkursie rzeźby ludowej, zorganizowanym przez Muzeum im. Władysława Orkana w Rabce i Muzeum w Nowym Sączu. Mimo że Wojciech Oleksy i inni paszyniacy nie odnieśli wówczas

sukcesu, konkurs spełnił wobec nich ważną rolę — mianowicie dał szansę debiutującemu chłopskiemu plastykowi, umożliwił im konfrontację z innymi rzeźbiarzami. Wydarzenie to pozwoliło paszyńskim twórcom przełamać psychiczne opory i przygotować się do następnego konkursu, który okazał się dla nich tak fortunny — Konkursu Współczesnej Rzeźby Ludowej Karpat Polskich, zorganizowanego w 1972 roku przez muzeum sądeckie.

Relacjonując przygotowania do imprezy, telewizja krakowska nadała krótki program z Paszyna, prezentując Wojciecha Oleksę i jego prace. Ten parominutowy reportaż zrobił wrażenie, jakiego prawdopodobnie nie przewidzieli organizatorzy. Po raz pierwszy telewizja pokazała Paszyn — a to za sprawą Wojtka! Trudno opisać zaskoczenie i zdziwienie mieszkańców wsi tego dnia. Oleksy z gluchoniemego, lekceważonego biedaka wwrósł nagle na „sławnego ziomka”.

W konkursie tym dwaj paszyniacy: Wojciech Oleksy i Mieczysław Piwko zostali laureatami pierwszych nagród, zaś czterastoletni krewniak Piwki — Andrzej Głód zdobył drugą nagrodę. Ów niespodziewany sukces znakomicie wykorzystał animator ośrodka paszyńskiego — ks. Edward Nitka, przekonując na różne sposoby swych parafian, aby podjęli twórczość artystyczną. Paszyn stał się sławny. Stawał się również sławny Wojciech Oleksy. Rozwijał swój talent: z prostych, topornych figurek doszedł do rozbudowanych kompozycji, głęboko przemysłanych, odznaczających się wielką

siłą wyrazu artystycznym i zajęcie
...ONI KROH



Nadal czytamy wiersze o ojczyźnie.

„Szarotka” z Mszany Dolnej jak talia kart zamigotała nam przed oczyma serią wierszy, z których chyba każdy w innej poetyce napisany. Szczypta Tuwima, szczypta Gałczyńskiego, złote ziarno od Mickiewicza, kropla Majakowskiego, ulubiony rym Broniewskiego („historii — glorii”). Pogłosy pozytywistycznej liryki hasel, taki Asnyk z pokolenia słoczniovców w sto lat po Asnyku, moralizatorskie zwrotki na afisz — i u Różewicza podpatrzono oschle formuły dla gorących emocji. Zdania gesty od ekspresjonistycznych aż przenosi, brzmiały jak gdyby Władysław Machajek zwierszował któreś ze swoich Obserwatorów:

Koniusze szują solidarne uprzęże.
Pytająkniem bicia wchłują
móżgownie faldy wklebiłone
w mrowisku odnowy.

— oraz folklorystyczne stylizacje gwaru o halach i pasterzach, nie tylko to słyszeć. Do przesady upojny, narozrywany tekst w manierze Henryka Zbierzchowskiego — albo pełen przejęcia wiersz spod proporca kultu jednostki, utrzymany w luźnym rytmie tonicznym, przypominającym nieco Hłakowiczównę (ona też chadzała „ścieżką obok drogi”). Sylabotoniczne postukiwanie trójzłotkowcami niby w przedszkolackiej piosence:

Szybki czar...
obok nas
co sil galopuje.

— bądź na odmiennie wloty postromantyczne, do tych stereotypów podobne, co

Dunajec 8



... z ironią już Wyspiański pastiszował w Wyzwoleniu:

Duchem Białego Orła porwani
ulećmy w kraj
serce narodu czeka
uczucia żar
skrzydlaty blask
rozpala czar...

Precz wierszu złudny!

Prozo, przywołuję cię do porządku życia!

Bardzo dużo tego dobrego dziedzictwa i stanowczo za dużo. Trochę to tak wygląda, jakby „Szarotka” obmyśliła chytrą ofertę dla redakcji: umiem pisać we wszelakich stylach, mogę za patrona sobie obrać każdego wielkiego, którego wskażecie mi wy. Tak to wygląda, lecz wiem, że tak nie jest. Ze to młoda autorka raczej przysłała serię laboratoryjnych wprawek, robótke na liter, świadectw tego, jak sobie rozpisuje pióro oraz jakim to czyni ćwiczeniem. To cząsta sytuacja w drodze do własnego piarstwa i zrozumiała; byle tylko w niej nie tkwić za długo. Trzeba skoncentrować się, szukać własnego stylu wśród polemiki ze szkolną wielośćowością. Uczę się bycia sobą — także i w sposobach wierszopisarskich, w technice. **▲ nade wszystko: służyć swojej literackiej**

umiejętnością (ile jej tam aktualnie jest) temu, co ważne.

Po co „Szarotka” pisze, jakiemu rozumieniu świata daje wyraz? To troszeczke ujawniło się w wierszu o Białym Orle, któryśmy tu zacytowali. Bo wprost po wersach przez nas przytoczonych czytamy słowa takie, mniej już wyspiańskie, bardziej nowotestamentowe:

Musisz
głodnych nasycić
z pustego garnka
dokonać cudu rozmnożenia
bezdarna
zawolaż o wiersze

Najklarowniej zaś myśl pani „Szarotki” została wyrażona w utworze Stop. I trudno się z nią nie zgodzić. Jednak właśnie ten akurat wiersz najdalej jest od poezji. Zbyt prosto w nim, jak w agitacyjnym artykule,

STOP

Spinionie konie zdarzeń
ciągną wóz ojczyzny
los woźniców zrzucił kilku
ale wóz jest jeden
parskają konie
biegiem się spiesząc
kopytem mocno ścieką kłusząc

jeden z nich w prawo

drug. z lew. w lewo

trzeci do przodu

a czwarty w tył...

Stop!

Zatrzymać pojazd!

Ustalić wspólny kierunek!

bo

rozpędzone rumaki wóz rozardzą.

Droga Pani, poezja to piękny szyfr. Kiedy namigłności lub cnoty nawet i cnoty obywatelskie zapanują nad nami w tym stopniu, że nie stać nas na precyzyjne szyfrowanie (ba! na pomyślowe i wręcz zaskakujące nowatorstwem tego piękna), powstają szlachetne apele bądź deklaracje, lecz liże wiersze. Bo wiersz trzeba zrobić. Talentem i wysiłkiem. Nawet prostotę w wierszu, tę cenną i urzekającą zaletę liryczną, też trzeba zrobić: surowym trudem selekcji słów, sylab, zgola pojedynczych głosek (wiele nie mieć miłośnictwa dla takich powiedzeń jak „biegiem się spiesząc”). Bez tego zamierzona prostota może okazać się prostactwem. A czasem aż musi. Czym prostota jest naprawdę, oceni Pani, porównując swój wiersz ze znaną bajką Iwana Kryłowa o tym samym: co się dzieje, „kiedy w towarzyszach zgłasza nie!”.

Raz łabędź, szczupak tudzież rak
Wóz ładowany ciągnąć umyśliły [...]

Im powszechniejszą myśl chcesz wyrazić w wierszu, im bardziej masz prawo liczyć na to, że czytelnicy z góry będą z tobą się zgadzali — tym kunsztowniej posługuj się pięknym szyfrem. Obywatelu — dbaj o prawdziwość swoich słów. Poeto — dbaj o piękno słowa. Czy więc jest jasne, jak ma postępować patriotyczny obywatel, który chce stać się poetą?

Śladami Jana Wiktora

Pisarz — czy społecznik? A w każdym razie — co bardziej? Te pytania towarzyszą wszelkim ocenom Jana Wiktora. I znamienne: na ogół o jego twórczości mówi się z pewnym... lekceważeniem. Ot, „pozycje” z lektur szkolnych. Natomiast drugi nurt życia i działania Wiktora oświetlany jest jaskrawym światłem: uczestnik międzywojennego ruchu ludowego, po wojnie członek Krajowej Rady Narodowej, poseł na Sejm PRL, wrażliwy na krzywdę ludzką, niosący dyskretną pomoc potrzebującym, skromny. Wspaniały wzór do naśladowania, jeśli zwłaszcza przemilcza się zakręty na jego drodze, nie bardzo rozumiałe dla kogoś, kto nie wie, że do prawdy wiodą nie zawsze najprostsze ścieżki.

I dopiero trzeba zetknąć się z ludźmi, którzy Go znali, przeczytać Jego książki uważnie, dochodząc ich najgłębszych warstw, by zrozumieć choć po części złożoność tej pozornie prostej osobowości i złożoność pozornie prostych, publicystycznych powieści.

Spotkanie, jakie odbyło się w bocheńskiej Bibliotece Miejskiej z okazji dziesięćdziesiątej rocznicy urodzin Jana Wiktora, pozwoliło poznać ciekawe tej złożonej prawdy o Nim.

Bibliotekę łączyły z Janem Wiktorem bliskie, serdeczne więzi. Jan Wiktor pisał: Najcenniejsze dzieło bez pomocy bibliotekarzy nie spełni swej roli, nie wejdzie w życie, nie zmieni się w krew krążącą w żyłach. Myśl ta nabrała realnych kształtów w działaniach bibliotekarzy bocheńskich. Nieprzypadkiem tablica u wejścia do budynku przy ulicy Adama Mickiewicza 5, siedziby Biblioteki, zaprasza: Wejdź, gościu, i stani się przyjacielem!

W roku 1969, w dwa lata po śmierci Jana Wiktora, Biblioteka Miejska w Bochni przybrała Jego imię. Urządzono izbę pamięci Pisarza, gromadząc w niej cenne pamiątki przyjaźni z Nim a także serdeczne dary czytelników — listy, tłumaczenia Jego książek, fotografie. Nie zapomina się też w Bochni o wiktorskich rocznicach. Z okazji tej, w której uczestniczyłam, wypoży-

czono z Muzeum Narodowego portrety Pisarza, udostępniając je czytelnikom.

Wieczór zaczął się dość pechowo: zachorowała Maria Świętoniowska, która miała recytować fragmenty „Orki na ugorze”, nie przyjechał też nikt ze Szczawnicy, choć wysłano około dziesięciu zaproszeń; wiem, że niektórzy z zaproszonych chorowali, że do Bochni niełatwo dojechać, ale... przed kilkoma miesiącami bochnianie z rodziną i schorowaną Panią Wiktora, jakos do Szczawnicy dojeżdżali.

Rozczarowanie gościło w Bochni wspaniała prelekcja docenta Zdzisława Siałkowskiego. Mówił on pięknie o Janie Wiktorem — człowieku, który był aktywny, płomienisty, czysty politycy, pisarzu, który ze swej postawy uczynił narzędzie służenia ludzkości i Ojczyźnie. I mówił o pisarstwie Wiktora, na przykładzie jednego tylko fragmentu „Wierzb nad Sekwaną” prezentując głęboką i rozległą znajomość literackich i historycznych tego utworu z wielką literaturą romantyczną i dziejami polskiej emigracji. I naraz pisarstwo Jana Wiktora przestało mieć charakter prostej, nieskomplikowanej publicystyki, jak je przywykli przedstawiać krytycy literatury, a odsoniło swą złożoność, swą wielowarstwowość, swę koczowniczą, aże do czasów i wątków biblijnych, po odwieczne wątki ludzkich losów.

Zbigniew Siałkowski malował słowami wizerunek człowieka, który bardzo przyszedłby się naszym czasom: bezkompromisowego, naiwnego ową pięknością, świętą naiwnością gotową odrzucić własną ambicję na rzecz sprawy, którą uważa za ważną i słuszną, człowieka i pisarza ostrzegającego przed zakamienialością ludzkich serc, obrońcy sprawiedliwości i prawdy.

Sluchając prelekcji wspominałam słowa Jana Wiktora o roli bibliotekarza. Tak, tam w Bochni było owo żywe słowo, niebanalna zachęta, nowe światło rzucone na utwór, które zmieniło dzieło Pisarza w „krew krążącą w żyłach”. W murach bocheńskiej Biblioteki Jan Wiktor i jego dzieło nabrały życia, barw, kształtu.

ELŻBIETA GLINKA

W ZIMOWEJ BIELI

Zdjęcia M. STASZEWSKI, ST. ŚMIERCIAK, W. WERNER

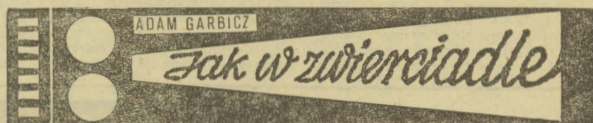


Jedna cienka książeczka: i to ma być plan przemysłu, pion doświadczeń całego życia? Czy ludzie w to wierzą? Jeśli Filip jest rzeczywiście ułubimym pisarzem, to dlaczego tego nie udowodni — tak, aby rzuciło się w oczy?

Głośno. Dużo. Z siłą przebitcia. Tak trzeba. Tak: osiąga się sukces. Zawsze w to wierzyła Zina, żona Filipa. Nie zmieniła zdania do dziś, kiedy stoi już nad grobem, kiedy jako pacjentka szpitala przyjmuje wizytę męża i wnuczki. Dowiaduje się, że to jej dedykowana jest owa książeczka-podsumowanie. Dla niej dedykacja-wyznanie miłości? Oj, Filipku, Filipku, zawsze byłeś taki nieudany...

Starła się. Od początku bardzo się starała. Energicznie wywalczała Filipowi możliwości pracy, znajomości, protekcję, miejsce wśród ludzi pira. Jeszcze od głodnych i chłodnych lat dwudziestych. Wierzyła w niego: był taki ujmujący, taki wrażliwy, taki mądry. Ale okropnie niezaradny. Ciągłe się pakował w kłopoty, odmawiał dziennikarskich kompromisów, trzymał tych swoich nieprzytomnych ideałów. Niczego go nie nauczyło przesiadywanie w urzędzie bezpieczeństwa, z którego prawie cudem wyszedł — pod opieką Ziny właśnie.

Opiekunka. Niania. Prawie matka. Równocześnie — fascynująca kobieta. Widząc w tej roli Elwę Szykulska, łatwo można uwierzyć w niepodzielność uczuć bohatera, równie wspaniale uosobionego przez Jurka Bogatyriewa: w oczarowanie Ziną i miłość, której czas nie zmieni. Jednym z ideałów Filipa była prawda; drugim — Zina. Cienką książeczkę, która ma być całą wyznawcą osobistą o świecie, dedy-



„Wyznanie miłości”

kuje z wyznaniem miłości towarzyszyście całego życia.

Film Ili Awerbacha WYZNANIE MIŁOŚCI, powstały według materiału literackiego Jęgwieny Gabryłowicza, opisuje historię tych dwojga od Rewolucji aż po czasy nam bliższe. Powieść o miłości? No tak, to jest o tym. O ludziach, którzy tak bardzo wzajemnie się uzupełniają, choć ogromnie różnią charakterem. Różni tak, że musiały między nimi wybuchać konflikty; że musieli się krzywdzić. Jest to więc także opowieść o trudnej zgodzie. O tym, czym w ogóle jest miłość — nie ta najczęściej opiewana, wosenna i romantyczna, ale także ta późna, mądra i wierna, oparta na przywiązaniu, szacunku, czułości.

Czy jednak Awerbach, ten rosyjski Zanussi, reżyser przenikliwych CUDZYCH LISTÓW i Gabryłowicz — najświetniejszy scenarzysta kina radzieckiego od lat czterdziestu — mogliby poprzestać tylko na opisie charakterów? To prawda, Gabryłowicz nieodmiennie najżywiej interesowały sprawy wielkich uczuć — ale też prawie zawsze historie o tych, którzy się kochają, umieszczone były przezeń w bardzo żywo narysowanym środowisku i prawie zawsze wiązały się zasadniczo ze spra-

wami obyczaj, ze sprawami społecznymi: w rezultacie jego opowieści stawały się zaczątkiem najgorętszych dyskusji o sprawach kraju, że wspomnieć choćby tylko A JESLI TO MIŁOŚĆ? w reżyserii Julii Rajzman, film z roku 1961 o „skandalu erotycznym” w szkole średniej.

Nie inaczej jest i tym razem. Historia Filipa i Ziny — to historia narodu oglądana oczami humanisty. Przez spłot wydarzeń z życia osobistego i wydarzeń o skali społeczno-politycznej. Gabryłowicz pokazuje swoją wersję historii, swoje doświadczenia siedemdziesięciolatka — obywatela Związku Radzieckiego. „Cztery czwarte” — powieść, która była podstawą filmu — jest z założenia nieco autobiograficzna. Jest trochę ta cienka książeczka Filipa. Oddajmy zresztą głos samemu autorowi:

„Od dawna już przymierzałem się do historii mego pokolenia, środowiska, do którego należę i którego sposobu myślenia uważam za własny. Zdecydowałem się na spisanie wspomnień człowieka, który byłby w pewnym sensie mną, a jednocześnie zupełnie kimś innym, ale w gruncie rzeczy podobnym. Historia Filipa jest historią epoki. Ot, żył sobie taki

Filipek: pracował, jeździł w teren, pisał, wychowywał dzieci, kochał, a w ogóle wszyscy uważali go za nieudacznika, potulnego, nieprzystosowanego do życia... Tymczasem w gruncie rzeczy był to człowiek o niezwykłej sile charakteru i wysokim poziomie moralnym. Wierny, uczciwy, pryncypialny człowiek, jeden z tych, którzy stanowią o wartości całego społeczeństwa”.

Tak. Bez wątpienia. Gabryłowicz chce nam objąć sposób myślenia i rolę inteligencji swojego kraju na tle tak wielu dramatycznych wydarzeń historycznych. Jego tekst, przetworzony na obraz, zawiera epizody wywołujące niezwykły wręcz wrażenie: dla mnie jest nim ten wojenny, jakże inny od dotychczas oglądanych w kinie radzieckim — i jakże odkrywcy w swych dialogach oraz powiązaniach trzecio-nych...

Nie wszystko się w tym filmie mogło zmieścić. Nie wszystko mogło się zmieścić w cieniutkiej książce Filipa. Ale tu nie chodzi o komplet. Prawdziwy sens komunikowania się człowieka z człowiekiem — to przeniesienie wrażenia. Idei. Sposobu odczuwania. Można to dać zrozumieć chociażby przez dobór sytuacji. Chociażby przez finezyjne nastroje nie rytmu i przez uderzające tu za cytowanie muzyki: tę opowieść zdobi preludia Bacha i lara Vitaliego!

Można to dać zrozumieć jednym powracającym obrazem-wspomnieniem. Popatrzmy, co unosi ko marzeniu duszę Filipa: oto podróż z dzieciństwa, z czasu niewinności. Rok 1914. Po Morzu Śródziemnym płynę białe statek. Na pokładzie on — i delikatna dziewczynka w słomkowym kapelusiku. Ich spojrzenia spotyka...

KALENDARIUM WYZWOLENIA

Ziemia nasza została wyzwolona w wyniku działań IV Frontu Ukraińskiego, dowodzonego przez generała armii IWANA PIETROWA. Południowym i centralnym regionom nieśli wolność żołnierze 38 Armii generała pułkownika KIRYLA MOSKALENIKA, a w Beskidzie Sadeckim i na Podhalu walczyła Armia generała pułkownika ANDRIEJA GRECZKI. Stolicę regionu — Nowy Sącz — została wyzwolona przez 76 Perekopską Dywizję Przeciwlotniczą, pułkownika FIODORA DANIŁOWICZA BOIBATA.

Oto historia tamtych dni:

12 STYCZNIA 1945:
Początek natarcia IV Frontu Ukraińskiego i wzmożenie działań przez partyzantkę sądecką.

16 STYCZNIA:
Wyzwolenie zostają Gortice.

17 STYCZNIA:
Pierwsze oddziały radzieckie wkraczają na Ziemię Sadecką. Wolność uzyskuje Bobowa. Rozpoczynają się walki o Grybów.

18 STYCZNIA:
Oddziały 38 Armii wyzwalały Cichów, Iwkowa, Tegoborze. Początek walk o Nowy Sącz.

19 STYCZNIA:
Wolność uzyskują: Rajbrot, Mordarka, Pisarzowa, Lipnica Dolna, Zegocina, Laskowa, Ptaszkowa, Marcinkowice. Żołnierze I Armii Gwardii IV Frontu Ukraińskiego wkraczają na przedmieścia Nowego Sącza.

20 STYCZNIA:
Wyzwoleny zostaje Nowy Sącz. W walkach o były powiat sądecki poległo 736 żołnierzy radzieckich.

21 STYCZNIA:
Wojska IV Frontu Ukraińskiego zdobywają Tylicz, Krynicę oraz Labową.

22 STYCZNIA:
Wyzwoleną zostaje Muczyna.

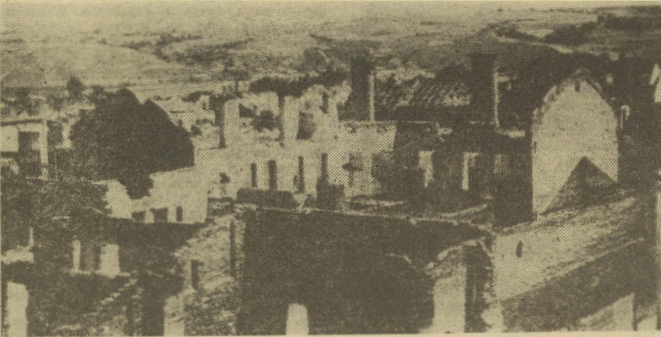
23 STYCZNIA:
Wolność uzyskują kolejne miejscowości: Stary Sącz, Piwniczna i Zięgień.

29 STYCZNIA:
Rezultatem przeniesienia działań przez oddziały I Armii Gwardii na teren Podhala i Ziemię Żywiecką jest wyzwolenie Zakopanego, Nowego Targu, Czarnego Dunajca i Jordanowa.

30 STYCZNIA:
Wolność uzyskują Jabłonka i Lipnica Mała.

Nowy Sącz w połowie stycznia 1945 roku stał się miastem frontowym. Niemcy rozpoczęli przygotowania do ostatniego ataku zbrojnego, jakim miało być zniszczenie miasta.

Piwnice Zamku Jagiellońskich zamieniono na arsenał materiałów wybuchowych. Odkryli to partyzanci polscy, współpracujący z oddziałem IWANA ZOŁOTARA, który tak to po latach wspomina: — Dnia czternastego stycznia dowiedzieliśmy się, że Niemcy zwieźli do piwnic zamku ponad dziesięć wagonów materiałów wybuchowych i min, zamierzając wysadzić w mieście wszystkie większe domy i obiekty przemysłowe. Aby ocalić Nowy Sącz od zniszczenia, wysłaliśmy do niego doświadczanego oficera KOSTIĘ



Repr. JOANNA GAJDA

W różne styczniowe dni 1945 roku ofensywa Armii Radzieckiej zbliżyła się do granic Ziemi Limanowskiej, niosąc wyzwolenie.

Dnie i godziny poprzedzające to wyzwolenie były dla Tymbarku, w tym dla Podhalańskiej Spółdzielni Owocarsko-Warzywnej, pełne napięcia, tragizmu i niepewności.

Pierchający okupant niszczył wszystko, a szczególnie drogi, mosty i budynki o znaczeniu wojskowym i gospodarczym. W strefie totalnego zniszczenia obiektów przez wycofujących się hitlerowców znalazła się wspomniana już spółdzielnia, której zakłady położone były w bezpośrednim sąsiedztwie torów i stacji kolejowej Tymbark. Dzielom zniszczenia objęte zostały budynki stacyjne i trzy mosty kolejowe: od strony Piekietka, w Jasnej i w Dobrej. Teraz przyszła kolej na zakłady spółdzielni. W blasku pięknego, mroźnego, styczniowego dnia, w sąsiedztwie gruzów rozwalonych budynków stacyjnych i konwulsyjnie poskręcanych

Wybuch o świcie

PICZA z grupą operacyjną. Za pośrednictwem TADEUSZA DYMLA skontaktował się on z pracującym przy budowie okopów WITOLDEM MLYNCEM, oraz o rok młodszym EDWARDDEM SKÓRNOGIM.

WITOLD MLYNIEC, partyzant Batalionów Chłopskich, miał wówczas siedemnaście lat. Jak wszyscy w wieku powyżej czternastu lat pracował na zarządzenie władz okupacyjnych przy budowie okopów w mieście i poza miastem. Oto zapiski z jego pamiętni-

ka, (udostępnione nam przez p. Józefa Bienią).

10.I.1945 r.

W dniu dzisiejszym zebrałem z Edkiem dużo cennych wiadomości. Najważniejsze z nich to, że Niemcy zwożą z kolei materiały wybuchowe. Dowiedzieliśmy się od pomocnika szofera z TODT-u, że na zamek zwieźli cztery samochody ładunkowe i jeden do magazynu TODT-u w dawnej betoniarzy przy ulicy Długosza.

16.I.1945 r.

Rano jak zwykle poszedłem do pracy... W magazynie kazano nam około godziny ładować materiały wybuchowe na samochody. Piętnaście minut po jedenastej kazano nam jechać na zamek w celu załadowania ich. Gdybyśmy mieli ze sobą miny, moglibyśmy przy zniszczeniu podłożyć ją i wykonać rozkaz. Niestety nie mamy... Zbadamy teren i magazyn, to w nocy będziemy się stawali podjąć i podłożyć. Po chwili uwrócił magazynier i powiedział, że musimy jeszcze raz przejechać po podhalu, bo teraz nie ma komendanta i nie można materiałów złożyć. Podczas przerwy obiadowej „Srebrny” dostarczył nam dwie temperatury miny angielskie. Przyjechałszy powtórnie na zamek wnieśliśmy piecki z minami do podziemi.

TYMBARK-STYCZEŃ

konstrukcji mostu kolejowego piął się jeszcze w niebo pierwszy komin chłopskiej fabryki, dzieło twórczej pracy inżyniera Józefa Marka, nadzieja parasytycznej rzeszy członków spółdzielni. Inżynier Józef Marek nie mógł jednak nic zrobić; ani on sam, ani jego kole-dzy-partyzanci. Nie mógł nawet zarzykować wejścia do spółdzielni, by swym autorytetem przeskoczyć Niemcom w minowaniu zakładów. Wraz z czołowym aktywnym spółdzielni znajdował się bowiem na czarnej gestapowskiej liście. Po niemal cudownym zwolnieniu z więzienia w Nowym Sączu musiał się ukrywać.

Niemcy już w drugiej połowie 1944 roku byli przeświadczeni, że znaczna część załogi spółdzielni działa w konspiracji, że w spółdzielni ukrywa się ludzi „spalonych”, że spółdzielnia zaopatrjuje w żywność partyzantów polskich i radzieckich, a „skoki” partyzantów na magazyny dokonują się w porozumie-

niu z władzami spółdzielni. Wszystko to zresztą odpowiadało prawdzie.

Niemcy powołali więc komisarzy do kierowania agendami spółdzielni, a ten z kolei dla zabezpieczenia interesów niemieckich i generalnej rozprawy z podziemiem zawezwał jednostkę żandarmerii, uzbrojoną nawet w działka. Mianowanie zakładów już trwało, komin fabryczny wciąż jednak stłł, czekając na cudowne ocalenie.

W istocie cud ocalenia nadszedł! W owych gorących chwilach przeżywało w spółdzielni dla pełnienia dyżurów kilku zaufanych robotników. Zaproponowano Niemcom poczęstunek. Biesiada przedłużyła się, nie brakło alkoholu. Nagle na okolicznych zboczach odezwały się pepesze żołnierzy radzieckich. Wśród Niemców wybuchła panika. W wielkim popłochu zaczęli wycofywać się z terenu spółdzielni, nie mając naturalnie już czasu na wysadzenie zakładów w powietrze.

NAJWAŻNIEJSZY

pewnych tendencjach do odrzucania prywatności, na jakich opiera się partia — jako tych, które nie sprawdziły się w minionych latach, a zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu. Tendencje te biorą się bądź z bezmyślnego przyjmowania objawów chorobowych za system funkcjonowania partyjnego organizmu, bądź też z celowego działania wrogów partii, którzy w ten sposób chcą ją osłabić. A przynajmniej te są słuszne, tylko... nie stosowano ich w codziennej praktyce lub wypaczano. Chodzi zatem o przywrócenie im należnej i niezbędnej rangi, o konsekwentne i bezwzględne kierowanie się nimi w całej działalności partii i każdego z jej członków.

Jak to osiągnąć? Cóż, nielato znaleźć skuteczne i szybko działające środki na wiolettele zaniechania. Nie wolno jednak podejmować żadnych kroków polowicznych — nie wolno pływac licząc, że jakoś fala uniesie, bo w wirze pływac się nie da. Trzeba zejść do dna, do gruntu, podjąć decyzje radykalne, i wówczas odbić się od mocnego, pewnego podłoża, by wyjść na powierzchnię. Trzeba też pamiętać, że druga fala odnowy dopiero dociera do naszego województwa i przygotować się na jej przyjęcie. Nie wolno rozdrabniać się na tworzenie innych programów, a raczej skupić się na realizacji już istniejących, bo nie zawsze są one zło.

Czas jednak najwyższy, by partia wróciła do swej podstawowej roli: awangardy ideowej narodu. Oznacza to przywrócenie rangi kształtowania światopoglądu jej członków i ich postaw. Niezbędna jest jak najszybsza zmiana stosunku partii, kierownictwa wszystkich jej instancji i organizacji do zagadnień kształcenia ideologicznego oraz zmiana treści owego kształcenia, przybliżenie go do rzeczywistych potrzeb środowisk i przetworzenie w rzeczywisty oręż ideologiczny, w jaki powinien być uzbrojony każdy członek i kandydat PZPR. Dopiero wtedy staną się partią rzeczywiste bojową, mającą autorytet, siłą i zwartą. Nie przypadek, że najpewniejszinni, najbardziej niezłomnymi członkami partii są tak zwani — jakże niesłusznie — „działkowie polityczni” — ludzie, którzy wychowywali się w ostrej walce politycznej, w walce o prawdę partii.

Wiele szkody wyrządziła partii polityka zwiększania jej szeregow za wszelką cenę. Partia musi się szanować, musi sprawdzać kandydatów zarówno pod względem politycznym, jak i moralnym, musi przyjmować tylko rzeczywiste najlepszych i czystych. Póki przyjęcie w szeregi partyjne nie stanie się znów zaszczytem, wyróżnieniem — póty partia nie odzyska w pełni należnego jej autorytetu.

Jaka jest? Jaka być powinna? Jacy muszą być jej członkowie, czego trzeba od nich wymagać? Wydarzenia ostatnich miesięcy wywoływały falę dyskusji nad kształtem i obliczem partii. W ogniu sporów, w ostrych, dramatycznych nawet konfliktach społecznych ujawniły się słabości i braki bądź nie dostrzegane, bądź wręcz przemilczane poprzednio, zrodziły się nowe potrzeby. Partia sprawująca przewodnią rolę w kraju musi oczyścić się z narosłych osadów zła, musi nie tylko określić swój stosunek do dokonujących się przemian, lecz także przeobrazić się na miarę nowego. Jak tego dokonać? — oto pytanie stawiane przez wszystkie środowiska i kręgi członków partii, szczególnie dziś, przed IX nadzwyczajnym Zjazdem PZPR.

Powiedzmy sobie na wstępie: potępienie w czambuł wszystkich dokonań minionego 35-lecia, negowanie dorobku zarówno w sferze kształtowania świadomości, jak i w sferze materialnej, rozmiłowały się z rzeczywistością. Gdyby ludzie nie wiedzieli, nie rozumieli, jak powinno funkcjonować życie w kraju i społeczeństwie socjalistycznym — nie byłoby w ogóle wydarzeń sierpniowych! Przecież to, co się wówczas zaczęło w Polsce, obrócone było przeciw wypaczeniu podstawowych zasad socjalizmu: demokracji, równości, poszanowania człowieka. I choć sytuacja jest do dziś chwilami anormalna, to przecież dzieła się rzeczy wielkie i tylko od nas zależy, ku czemu dojdziemy jako państwo i jako naród.

Ale musimy powiedzieć sobie i inną, gorzką prawdę: w wielu ogniwach partyjnych nastąpiło załamanie, wielu członków partii stanęło na rozdrożu nie

wiedząc, gdzie jest słuszność lub nie umiejąc znaleźć swego miejsca na wielkiej scenie dnia dzisiejszego. Są i tacy, którzy swego czasu przyjęli legitymacje partyjne dla osobistych korzyści i dziś uchylają się przed określeniem swego stanowiska. Są wreszcie i tacy, którzy nadstawiają ucha na podszepty przeciwników, a nawet stają się ich rzecznikami. Każdy zakręt historii, każdy dramatyczny czas ujęcia wyraził się postawą ludzi, więc czemu dziś miałoby być inaczej? To zresztą dobrane — jest szansa na samoczyszczenie się partii, a wtedy może ona okrzepnąć siłą najbardziej prawych.

Niebezpieczeństwo tkwi nie w tym, że odchodzą z partii rozczarowani czy niechętni — niebezpieczeństwo może zrodzić się wówczas, gdy partia dopuści do powstania w jej szeregach frakcji, zarówno tych prawicowych, jak i lewackich. I dlatego sprawą podstawową jest utrzymanie jej jednolitości, nawet jeśli o tę jednolitość trzeba walczyć.

Niebezpieczeństwo kryje się też w

Wybuch nastąpił ośmiennasto godzinie 5.20 rano. Detonację słychać było w promieniu kilkunastu kilometrów. Jak pisał JAN WIKTOR „odamy kamieni przeszone daleko, bo aż na planity, na rynek, zdruzgotaly dachy, rozwalaly pietra szerzace zniszczenia”. Ołbrzymie zwały gruzu zablokowały szosę w kierunku Chelmea. W ruinach znalazła śmierć znaczna część załogi niemieckiej.

EDWARD SMAJDOR, nowosądecki nauczyciel, zapamiętał ten dzień doskonale (wypowiedź dla Gazety Południowej z 19 stycznia 1978 roku): „...O godzinie piątej potworna eksplozja हुई miasto. Wybiegami na strych i patrząc w kierunku, gdzie w błękitne tło nieba wpisana jest monumentalna sylwetka Zamku Jagielloń. Zamek — nagle legł w gruzach. Widok dymiącego rumowiska był wstrząsający... Dwa dni później biegłem do rodziców mieszkających na Helenie — masy zniszczone, trzeba przepatrzać się po krach na Dunaju... Wracając widziałem skutki wybuchu zamku; spod jego gruzów wystawały lufy dział, ciała konskie i masy trupów do niedawna butne i niezuczyzonej armii hitlerowskiej. Ale widziałem też dziesiątki zabitych żołnierzy radzieckich, którzy naszą wolność okupili ceną najwyższą. O tym będziemy zawsze pamiętać...

W momencie wybuchu WITOLD MILYNIEC i EDWARD SKORNOG znaleźli się na placówce w góralskiej wsi Kiczina. I tam było słychać detonację. Do wyzwolenego Nowego Sącza przybyli wraz z grupą partyzantów radzieckich trzeciego lutego.

JERZY LEŚNIAK

1945

Przetwornia ocalała, zaś niemiecka jednostka została wkrótce zlikwidowana przez żołnierzy radzieckich. Zakłady ocalały dzięki ofiarnej, patriotycznej postawie części załogi, a nade wszystko dzięki wspaniałemu manewrowi radzieckich żołnierzy.

Już w parę dni po wyzwoleniu Ziemi Limanowskiej komisja fabryczny znowu zadymił, obwieszczać, że spółdzielnia wznawia swą działalność na rzecz wyzwolenego już społeczeństwa.

W trzydziestą ostatnią rocznicę oswobodzenia Ziemi Limanowskiej i ocalenia Zakładów Podhalanckiej Spółdzielni Owocarsko-Warzywnej w Tymbarku, warto i należy przypominać te fakty, zarówno tysięcznej już zaludze Zakładów Przetwornia Owocowo-Warzywnej w Tymbarku, jak i całemu społeczeństwu, które na ogół nie zna tych wydarzeń z bezpośrednich obserwacji i przeżyć.

mgr JÓZEF KULPA
TYMBARK

Rzeka Raba w Rabce ma kilkanaście metrów szerokości, nie jest też głęboka. Nie znaczy to jednak, że można się obejść bez mostu. A z tym była bieda.

Stał na Rabie, w rejonie ulicy Sąddeckiej, stary drewniany most... W lipcu ubiegłego roku został zniszczony przez powódź. W dwa miesiące później uległ uszkodzeniu drugi most przy tej samej ulicy — na potoku Poniczanka. Tym razem przyczyną było nie wezbranie wód, lecz zbyt duża koncentracja ruchu i przekroczenie dopuszczalnej nośności. Układ komunikacyjny Rabki został więc poważnie zakłócony, transport na budowę osiedli „Sąddecka” i „Orkana” oraz do Zakładu Przyrodolecznictwa odbywał się drogą okrężną. W dodatku Zakład Robot Inżynierskich Kombinatu Budownictwa Komunalnego w Nowym Sączu nie dotrzymał terminu przebudowy ulicy Zakopiańskiej, stanowiącej najdogodniejsze połączenie z pobliską Chabówką. Ulica niby jest, ale jeżeli spadnie większy deszcz, samochody grzezną w niej jak w bagnie.

Możliwości wykonawcze i sprzętowe administratora mostów w Rabce, czyli Rejonu Dróg Publicznych w Limanowej, pozwoliły jedynie na wyremontowanie mostu w Ryńku, na potoku Poniczanka. Pozostał jednak most na rzece Rabie.

W tej sytuacji naczelnik miasta i gminy ZDZISŁAW KABAT zwrócił się do Dowódcy Warszawskiego Okręgu Wojskowego, generała dywizji WŁODZIMIERZA OLIWY, o udzielenie pomocy w budowie nowego mostu. W realizacji tego zamierzenia zaangażował się również Naczelnny Prokurator Wojskowy, generał brygady JÓZEF SZEWCZYK, rodowity rabeczanin.

Po wstępnych pertraktacjach, które przeprowadzili w jednej z jednostek Warszawskiego Okręgu Wojskowego, dyrektor Rejonu Dróg Publicznych STANISŁAW GROSIŃSKI i zastępca naczelnika Rabki JANUSZ LEŚNIAK — przygotowano dokumentację budowy.

Dziesiątego listopada przybyło do Rabki wojsko. Żołnierze jednostki budowy mostów, którymi dowodził kapitan BOGUSŁAW SZEWCZYK, z marszu przystąpili do pracy. Roboty ruszyła pełną parą. Dla saperów budowa mostów to nie pierwsza. Kapitan SzeWCzyk i jego podwładni budowali już w ubiegłym roku mosty na Cyplu Czerniakowskim w Warszawie, na Pilicy w Tomczyszczach i Biejkowie.

Mieszkańcy Rabki często zaglądali na ulicę Sąddecką. Z podziwem i uznaniem obserwowali fachowców żołnierzy, znakomitą organizację i tempo robót. W ciągłym ruchu były urzędnicy do wibiania pali, tak zwane kafary, dźwigi i samochody.

Jerzy Leśniak

ŻOŁNIERSKA OBECNOŚĆ



Fot. JERZY SIFROSLAWSKI

Most rósł dosłownie w oczach i w dwa tygodnie był gotów. W zalatwieniu przydziału materiałów budowlanych pomógł naczelnik, drzewo przywieziono z tartaku w Tymbarku, półtora tysiąca sreb różnej średnicy dostarczyła Elektrownia-3 w Jaworznie.

Wojsko szybko zaaklimatyzowało się w miasteczku pod Luboniem. Wzajemna sympatia żołnierzy i mieszkańców towarzyszyła całemu pobytowi saperów w Rabce. Takśówkarze nie brali od obłopaków w mundurach pieniędzy, kelnerki, które pracowały w naprędcie zorganizowanej żołnierskiej stołówce, otoczone były szczególną życzliwością koleżanek.

Dla niektórych saperów był to pierwszy pobyt w „prawdziwych” górach. Niekonwencjonalna wycie-

czka do Zakopanego i Szaradowicy dostarczyła im niezapomnianych wrażeń, a udział w „Posiadach Gorczańskich” zapoznał z folklorem i regionalnymi potrawami. W rewanżu kilkunastu żołnierzy jednego dnia rozebrało stary, walący się budynek mieszkalny „Maciejówka”, własność Instytutu Matki i Dziecka.

Z wielką pompą przecięto wstęgę na nowym moście. Na otwarcie przyjechał generał JÓZEF SZEWCZYK, który podziękował saperom za spełnienie obywatelskiego obowiązku. Społeczeństwo Rabki ufundowało im honorowe dyplomy i zegarki.

Uszał szum, dudnienie kafarów i brzęk pił. Żołnierze odjechali. Tylko na rzece pozostał po nich ślad — most.

CEL

Barzo ważna w procesie odnowy B i w procesie przyszłego kształtowania oblicza partii jest rola działaczy partyjnych. Ich umiejętność elastycznego reagowania na to, co niesie życie. Elastyczność — nie znaczy jednak: niezdeterminowanie, chwiejność. Elastyczność — to mądre, oparte na wszechstronnym zrozumieniu rzeczywistości ocenianie jej zgodnie z podstawowymi normami i zasadami ustroju i ideologii marksistowskiej. Pamiętać też trzeba, że sporo działaczy było tylko pseudodziałaczami, że są tacy, którzy wręcz skompromitowali się wobec narodu i partii i muszą odejść. Są też i tacy, którzy wprawdzie nie ponoszą winy za zło, które się działo, ale zbyt byli związani z tymi, którzy za nie odpowiadają i dziś trudno obdarzyć ich zaufaniem — oni też powinni ustąpić miejsca ludziom nowym, którzy mogą nawiązać dialog ze społeczeństwem, z organizacjami partyjnymi.

Partia jest w niełatwej sytuacji, bo nie ma dziś zbyt wielu prawdziwych, ideowych aktywistów. Minione dziesięciolecie przyniosło tu ogromne спустoszenia — problemy ideowo-wychowawcze były spychane na margines i taki stosunek do podstawowych funkcji partii mści się dzisiaj „letniością” postaw ludzkich.

W przypadkach pracę tę trzeba zaczynać od podstaw.

S ystem kształcenia ideologicznego, szkolenia członków i kandydatów partii nie funkcjonował prawidłowo, był zbyt skomplikowany i zbyt rozbudowany jak na możliwości aktywizacji społecznej i możliwości percepcyjnej uczestników. Mit „aparatu szkoleniowego partii”, odpowiedzialnego za szkolenie, przewalał na zręczanie tej odpowiedzialności z barków ludzi, których podstawowym zadaniem być ono powinno: sekretarzy, sekretariatów, egzekutyw. Jednocześnie odcinanie szkoleń, od praktyki życia i działania aktywistów nie sprzyjało faktycznemu pogłębianiu ich wiedzy, a szkolenia masowe nie mogły — siłą rzeczy — trafić do przekonania ludziom z różnych środowisk i o różnym poziomie intelektualnym. Struktury nie były dopasowane do potrzeb i dziś mści się to rozbiciem ideowym partii.

Nie chodzi jednak o to, by przewracać cały system szkolenia partyjnego, lecz by wrócić w nim do fundamentalnych zasad i też leninowskich i szerzej mówiąc o normach statutu partyjnego, a także w dyskusjach formułować zadania członków partii w ich konkretnych środowiskach.

Trzeba skończyć z belfrowaniem, a wrócić do autentycznej pracy partyjnej, przywrócić wagę dyscypliny partyjnej, bo dziś nawet trudno czasem zebrać członków partii poza godzinami pracy.

Zmodyfikowania wymaga także działalność lektorska, zbyt często mająca charakter czysto informacyjny, co w dobie powszechnego dostępu do pras, radia, telewizji jest całkiem zbędne. Lektoryzy powinni inspirować dyskusje prowadzące do interpretowania faktów i wyjaśniania wątpliwości — nie zaś

informować. W przeciwnym razie spotkania z lektorami — nawet lektorami Komitetu Centralnego — mijają się z celem.

Wychowanie, kształtowanie postaw zaczyna się już w dzieciństwie. Dlatego działalność partyjna w środowiskach nauczycielskich musi być szczególnie starannie przemysłana i konsekwentna. Uczniowie winni uczyć się społecznego życia przez różnorodne formy samorządności szkolnej — a wzorem postaw osobowych winni być nauczyciele. Konieczne jest więc rozważenie, jak wpływać na postawy tego środowiska. Trzeba też wyczulić nauczycieli na konieczność systematycznego podnoszenia i rozszerzania ich wiedzy, którą mogliby spożytkować w dyskusjach politycznym, jak i chętnie podejmują uczniowie zwłaszcza starszych klas. Niezłotność nauczycieli do takich dyskusji oraz posługiwanie się wielkimi uproszczeniami i swoisty dogmatyzm polityczny sprawiły, że trudno będzie pedagogom odzyskać zaufanie i autorytet w uczniowskich zespólach.

A jeśli nie potrafimy pozyskać młodzieży — to skąd weźmiemy żarliwych, aktywnych kandydatów, a następnie członków partii?

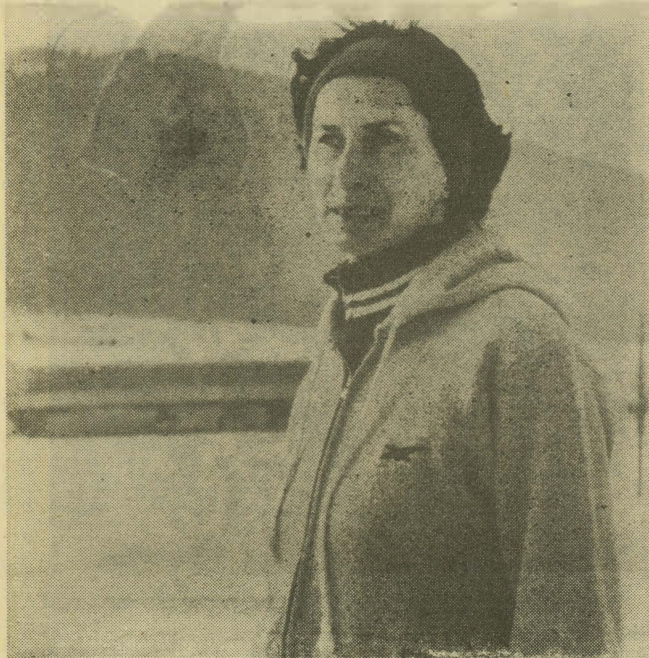
O sobnym problemem jest oddziaływanie na społeczeństwo ludzi dorosłych. Jak wychowywać dorosłego człowieka o ukształtowanych poglądach? Jakimi argumentami go przekonywać? A takich ludzi, niestety, jest niemało i w szeregach partyjnych. Czas chyba pomyśleć o tym, by rozliczać nie tylko łapowników, ale i owych stojących „obok” czy nawet „daleko”. Inaczej nie będzie można mówić o wię-

zi wewnątrzpartyjnej, o jednolitości partii.

Tylko jednolita, silna ta jednolitością partia zdolna jest prowadzić dialog z całym społeczeństwem. Konstruktyny dialog, oparty o istniejące realia społeczne i polityczne, dialog służący zgodzie ogólnonarodowej na płaszczyźnie przyjęcia principów ustrojowych i wychodzenia naprzeciw racjom różnych stron. Nie chodzi o licytowanie się z „Solidarnością” czy związkami branżowymi w dokonaniach — bo ruch związkowy ma inne zadania niż partia polityczna. Ale o wspólny cel: lepsze życie narodu w socjalistycznej Polsce. Siły odnowy, wyzwolone w dniach sierpniowych, trzeba ukierunkować, tak, by odnowa ta stała się faktem i by przyniosła autentyczne korzyści narodowi, a zarazem podniosła i umocniła autorytet partii.

Refleksje powyższe oddają myśli, jakie wypowiadał uczestnicy spotkania — konwersatorium zorganizowanego w Województwie Oświęcim. Kształcenia Ideologicznego w Nowym Sączu, a poświęconego problemom pracy ideowo-wychowawczej w Partii. Odbył się też niepokój aktywistów partyjnych o przyszłość oblicza Partii, o postawy jej członków, o autorytet PZPR w kraju. Są zapiski rozterek i poszukiwań, prób znalezienia rozwiązań i dróg, którymi odnowa powinna wkraczać w sferę postaw ludzkich.

„Sport to przede wszystkim sprawdzenie swych możliwości“



Fot. ALEKSANDRA KLUSEK

Pięć olimpiad (Tosio, Meksyk, Monachium, Montreal, Moskwa), 7 medali olimpijskich, 10 medali mistrzostw Europy, rekordy świata na 100, 200, 400 i 4×100 m — oto w największym skrócie bilans osiągnięć sportowych Ireny Szewińskiej. Sławną lekkoatletkę zakończyła w tych dniach swą bogatą, 18-letnią karierę sportową.

— Przypadek sprawił, że trafiłam do sportu — mówi I. Szewińska. — W szkole interesowałam się książkami, teatrem, kinem. Nigdy nie myślałam o tym, że zostanę sportsmanką. Kiedyś w szkole zorganizowano zawody kontrolne. Wygrałam bieg na 60 m, skok wzwyż i skok w dal. I tak się zaczęło.

Jestem z natury samokrytyczna i realnie oceniałam swe szanse. Poprawiałam wyniki, biłam swe rekordy, ale wiedziałam, że do poziomu olimpijskiego jeszcze mi daleko.

Dopiero zimą 1964 r. zaczęłam myśleć o starcie olimpijskim. Trenowałam bardzo solidnie, chociaż matura była za pasem. Przez pewien czas wahałam się, czy nie zrezygnować z egzaminu na wyższą uczelnię, poświęcając cały wolny czas na trening. W końcu zdecydowałam, że nie można niczego oddawać walkowerem i przystąpiłam do egzaminów na Uniwersytecie Warszawskim. Zdałam egzamin i pojechałam do Tokio.

— Który ze swoich startów wspomina pani z największym sentymentem?

— Z tym pytaniem spotykałam się często. Trudno jednak odpowiedzieć, jeśli startowałam na 5 olimpiadach. Najwięcej satysfakcji dały mi chyba starty w 1974 roku, kiedy to osiągnęłam szczyt formy. Biłam rekordy świata, wygrywałam z najgroźniejszymi konkurentkami. Spotkały mnie wówczas najcenniejsze wyróżnienia — nagroda prezydenta Francji oraz wyróżnienia w plebiscytach dziennikarskich AIPS i PAP, które mają dla mnie dużą wartość, ponieważ wyrażają opinię fachowców.

Mile wspominam swoje starty zagraniczne w środowiskach polonijnych w Anglii, USA, Kanadzie, Australii. Każde zwycięstwo zawodnika polskiego sprawia tam naszym rodakom wiele radości. Spotykałam się z dowodami wielkiej serdeczności i miłym przyjęciem.

— Wielokrotnie biła pani rekordy świata, ale który ze swoich wyników ceni pani najwyżej?

— Chyba rezultat 22,0 osiągnięty 13 czerwca 1974 r. w Poczdamie. W bezpośrednim pojedynku pokonałam swą najgroźniejszą rywalkę Renatę Stecher. Dużą wartość sportową miał również mój rezultat 49,9 na 400 m. Jako pierwsza przekroczyłam granicę 50 sek.

— Czy sport przyniósł pani same tylko radości?

— Były też i gorzkie chwile. Podczas Igrzysk Olimpijskich w Meksyku nie powiodło mi się w skoku w dal i w sztafecie 4×100 m. Redaktor Eugeniusz Pach zrobił w telewizji oskarżycielską audycję. Było mi bardzo przykro, ponieważ zarzuty były niestudne. Inaczej przyjmuję się słowa krytyki, kiedy człowiek wie, że ponosi w jakimś stopniu winę. W każdym biegu podczas zawodów ligowych, mityngów, mistrzostw Polski czy igrzysk olimpijskich mobilizowałam siły w sposób maksymalny. Dla reprezentacji dawałam zawsze z siebie wszystko. W ważnych meczach, w pucharach Europy startowałam w ciągu kilku godzin w 3–4 konkurencjach. Teraz wiem, że czasem eksploatowałam się nadmiernie. Dlatego też z zarzutem braku ambicji sportowej trudno było mi się pogodzić.

— Co się pani we współczesnym sporcie najbardziej nie podoba?

— Kiedy w 1963 r. rozpoczynałam karierę sportową, sport był bardziej spontaniczny, dostarczał nam więcej radości. To prawda, że walczyliśmy również o jak najlepsze wyniki, ale było też miejsce na koleżeństwo, kontakty towarzyskie. Sport dzisiejszy jest drażliwy. Teraz wszyscy dążą do wykorzystania wszystkich szans, osiągnięcia wyniku niemal za każdą cenę. Plaga środków dopingujących stanowi ogromne zagrożenie dla sportu, wypacza jego sens.

Dla mnie sport to przede wszystkim możliwość sprawdzenia samego siebie. Sport jest wynimerny, w odróżnieniu od wielu dziedzin życia. Tu decydują sekundy i centymetry. Można stwierdzić, kto jest lepszy, a kto gorszy. Jeśli ktoś solidnie pracuje, poprawia swe wyniki, bije rekordy życiowe.

— Gdyby pani miała dzisiaj 16 lat, czy znów zajęłaby się pani sportem?

— Oczywiście, tak. Nie żałuję tych lat, które poświęciłam na sport. To prawda, że udało mi się odnieść wiele sukcesów, zwiedzić świat, spotkać wielu interesujących ludzi, ale sport wymagał też ode mnie wielu wyrzeczeń.

Kontaktów ze sportem nie zrywam i chciałabym działać w Polskim Komitecie Olimpijskim. Niektórzy pytają mnie, czy będę pracowała z młodzieżą. Patrzę na to trzeźwo. Nie mam wykształcenia trenerskiego, ani zdolności pedagogicznych. Dlatego też byłby ze mnie jako z trenerki niewielki pożytek.

Rozmawiał:

Z. CHMIELEWSKI (PAP)

Różdżkarze w służbie gospodarki?

Minęły czasy, kiedy o praktykach różdżkarzy mówiono z nutą kpiny. Okazało się bowiem, że różdżka i różnego rodzaju piony to tzw. instrumenty biofizyczne, które w rękach radiestety reagują na specjalne rodzaje promieniowania.

KILKA FAKTÓW Z HISTORII

Różdżkarstwo nie jest wynalazkiem współczesnym. Już Chińczycy ponad trzy tysiące lat przed naszą erą umieli się posługiwać tajemniczo rozwidloną wijką, która służyła im do odkrywania skarbow ziemi. Zнали różdżkę także Egipcjanie, a w późniejszych stuleciach także plemiona germańskie. W „Pieśni Nibelungów” — starogermańskim eposie, znaleźć można usteę, w którym jest mowa o wskazującej skarby gałązce.

Różdżka uległa zapomnieniu w czasach średniowiecza. Nadużywana przez oszustów i szarlatanów stała się symbolem zabobonów i tajemnych szachrajstw. Dopiero wiek XX, a zwłaszcza jego pierwsze dziesięciolecie zwróciły uwagę na zalety i korzyści, jakie może przynieść nobilitacja różdżki. Powszechnie stało się wówczas odnawianie przy jej pomocy źródeł wody. W okresie tym rozwinęły się także badania nad samą istotą różdżkarstwa, pozostające w związku z filozofią Kanta i Freuda. Począwszy od 1930 roku różdżkarstwo coraz częściej zaczęło nazywać radiestezją (radium — łac. promień i aesthesia — grek. odczuwanie).

RÓŻDŻKA PRAKTYCZNA

Inną działalnością różdżkarzy jest wyszukiwanie tzw. pasów zadrażnień

(geopatycznych). Dowiedzione jest bowiem iż dłuższe przebywanie istot żywych w zasięgu promieniowania geopatycznego powoduje złe samopoczucie i przewlekłe stany chorobowe. Jeszcze do niedawna, a coraz częściej i obecnie, miejsce pod dom mieszkalny czy budynki inwentarskie badane jest przez radiestety dla określenia, czy nie znajdują się one w zasięgu oddziaływania wewnętrznych ścieków wodnych. Potrzebę takiego postępowania potwierdzają wyniki badań, przeprowadzonych przez Czesława Mościckiego. Jak się okazało, 90% przebadanych chorych spało na styku stref objętych promieniowaniem. Cierpieli oni na bezsenność, zmęczenie i szereg innych przypadłości. Podobnie jest z organizmami zwierzęcymi. W pomieszczeniach objętych promieniowaniem stają się one nerwowe, nie przybierają na wadze, a w skrajnych przypadkach nie wydają potomstwa. Straty są znaczne, a można ich uniknąć, wykorzystując szerszą wiedzę i predyspozycje radiestety.

RÓŻDŻKARZE W POLSCE

W naszym kraju różdżkarze długo musieli pokonywać barierę nieufności. Od kilku lat coraz częściej jednak o nich słycać, chociażby przy okazji krajowych konferencji radiestety, które już dwukrotnie odbyły się w Poznaniu. Liczbę radiestetyści ocenia się na około 1000 osób. Ponad 2/3 to ludzie z wyższym wykształceniem, inżynierowie, lekarze, fizycy, geolodzy itp.

Różdżkarstwo, choć nadal budzi sporo nieufności i rezerwy, zyskuje coraz więcej zwolenników. Warto więc, aby częściej korzystano z jego osiągnięć i przydatności praktycznej. Gospodarka narodowa byłaby zapewne narażona na

mnijšie straty. Jak się bowiem okazuje, badania geologiczne wcale nie są tak doskonałe. Czas więc, aby radiesteci znaleźli swoje miejsce w strukturze narodowego gospodarstwa.

MARK KĘDRZIEK (PAP)

Strój bobrowy na... migrenę

Bobry, zwierzęta, które niejednemu inżynierowi mogą zaimponować umiejętnościami konstruowania niezwykle zmyślnych budowli wodnych, od dawien dawna objęte zostały w Polsce ochroną prawną. Już w XI wieku Bolesław Chrobry, dla ocalenia trzeźbionego coraz bardziej bobra, wydał pierwsze w państwie polskim prawo ochronne, ustanawiając tzw. urząd bobrowniczy. Do jego obowiązków należała opieka nad bobrami i ich hodowla w obrębie ziem książęcych. Ogromną rangę bobrowniczym nadawało to, że byli oni wyłączeni spod władzy wojewodów i kasztelanów, a podlegali jedynie księciu lub bezpośrednio samemu królowi.

W XII wieku w ogóle zabronione zostały wszelkie polowania na bobry. Od tamtego było to wyłącznie przywilejem książąt i arystokracji kościelnej. Tak ówczesne zakazy, przepisy, jak i późniejsze akta prawne nie uchroniły jednak tego gatunku zwierząt przed zbytnim zainteresowaniem kłusowników.

Prócz zaskakującej znajomości tajników budownictwa wodnego, bobry mają także szereg innych zalet, stanowiących dla wielu nie lada pokusę. Po pierwsze mają bardzo ładne futro, jadalne jest też ich mięso. Ponadto, bór jest dostawcą... leków. Za najbardziej cenny uznawany jest tzw. strój bobro-

wy, któremu przed wiekami przypisywano cudowne właściwości, uważając za uniwersalny środek leczniczy. Strój bobrowy jest wydzieliną gruczołów zwierzęcia — półpłynną masą, o przenikliwym zapachu piżma, pozostawioną przez bobry na drodze ich wędrówek, pomocną przy wabienu się płci. Substancja ta, wysuszona na czerwono-brunatny proszek, od najdawniejszych czasów aż po współczesne uważana była w Europie za swoiste panaceum medyczne. Oto, co pisało o stroju bobrowym, jako znakomity lek:

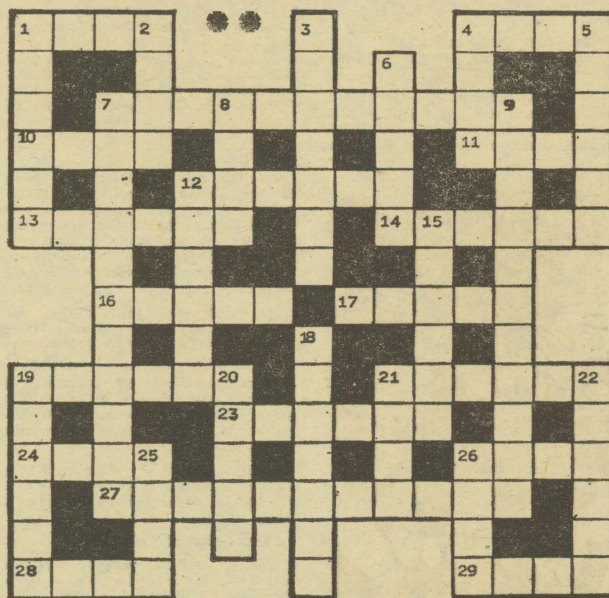
Na zdrowy organizm wzięty zupełnie jest obojętny, w chorym organizmie działa pobudzającym sposobem na mózg i mlecz kręgowy, szczególnie zaś na niższe go brzucha, przy chorobliwej drażliwości i czułości w tej sferze. Użyty w bardzo wielkich daniach działa podniecająco, pomnaża ciepło i przewziew skóry, przyspiesza prędkość pulsu. Strój bobrowy używa się w następujących chorobach: histerii, hipochondrii, przy wyczerpaniu czułości nerwowej, osłabieniu mózgu i mleczu, w napadach nerwowych, bólu głowy, omdleniach, bicach serca, kurczach piersiowych, zawrotach głowy i migrenach, w neuralgii niższego brzucha, a najbardziej... przy porodzie u położnic.

NINA OMELCZENKO (PAP)

POZIOMO: 1) bardzo ważna, gdy brak masła, 4) kłopotliwy węgiel, 7) łączy Krościenko ze Szczawnicą, 10) w dawnych samolotach był dolny i górny, 11) najczęściej winni, 12) miły prezent od narzeczonej, 13) ujawnia ją błądność, 14) plusy w rachunku, 16) ogłasza, 17) polskie miasto, które zachowało najwięcej z zabudowy pruskiej w XIX wieku; nakreślono tam „Wizję lokalną 1901”, 19) świetny hokeista czechosłowacki, 21) pod Rokitną, 23) siostra Krywania, 24) najpiękniejsze białe z czarnymi oczami, 26) podstawowy sprzęt bhp, 27) złośliwie mówi krepującą prawdę, 28) lecznicze zioło, 29) słynne w starożytności.

PIONOWO: 1) przełęcz koło Trzech Koron, zwana Chwała Bogu, 2) Ziemia ma go najwięcej, 3) po drodze z Czorsztyna na Górę Zamkową, 4) była przed maxi, 5) inaczej Facimiech, 6) po drodze z Grywałdu do Krościenka, 7) lubią muzykę w małym gronie, 8) nad brzegami rozlewistych rzek, 9) ulubiony sklep kolekcjonerów zapisanych myśli, 12) skutek rozmów przy pomocy pięści, 15) zapis obrazu rzeczywistego, 18 Cervený, 19) na południe od Sokolicy, 20) ewolucja w tyżwiarstwie figurowym, 21) kres życia, 22) tam wydają nasze najpiękniejsze książki, 25) zły lub dobry, 26) konieczny każdej świecy.

Krzyżówka nr 2



HASŁEM jest tym razem nazwa najpiękniejszej części regionu, któremu poświęcona jest ta krzyżówka (pierwsza litera oznacza numer hasła, liczba po kresce — kolejną literę w tym hasle): 10-1, 18-7, 7-9, 17-4, 8-1, 18-6, 3-1, 22-5, 28-3, 5-5, 3-6, 1-3, 19-5, 20-1.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do 22 stycznia (decyduje data stempla pocztowego).

UWAGA: począwszy od tego numeru przy każdej krzyżówce umieszczać będziemy znak ilości punktów, otrzymywanych za jej prawidłowe rozwiązanie (wszystkie hasła): to dla naszych wytrwałych amatorów łamania głowy, którzy mają szansę zdobyć dodatkowe nagrody kwartalne za najwięcej prawidłowych rozwiązań.

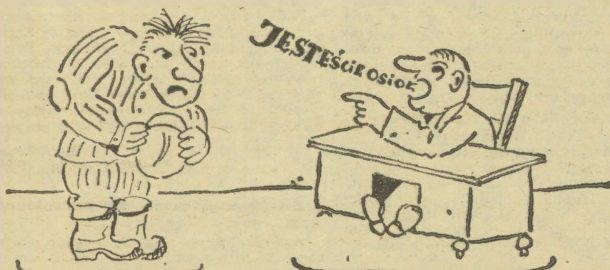
Rozwiązanie „krzyżówki — choinki”

Pionowo: 1) Konstanytnopolitańczy, 3) kler, 4) tran, 6) Orawa, 7) Klim, 9) skarga, 10) bekas, 11) Katania, 12) Bratny, 16) Ike, 18) rys, 21) Talk, 22) NOT, 24) typ, 27) rolki, 28) dzierzba, 30) Osmańczyk, 32) akt, 33) obora, 35) Ares, 38) maj, 39) agat, 42) okapi, 45) grab, 48) Zola, 51) AW (Adolf Warski).

Poziomo: 2) dno, 3) KTT, 5) golar, 8) Renal, 10) bartnik, 13) krew, 14) Maur, 15) Kain, 17) ar, 19) urna, 20) Korfanty, 23) step, 25) anons, 34) laik, 36) Bim, 37) Cma, 40) Kret, 41) Otago, 43) aga, 44) kier, 45) grań, 46) koja, 47) szarańcza, 49) czop, 50) Bazyli, 52) Wyka.

GRAMATYKA

1. ROZBÓR ZDANIA



PODMIOT

ORZECZENIE



OKREŚLENIE BLIŻSZE

OKREŚLENIE DAŁSZE

2. CZĘŚCI MOWY



1979 r.

1980 r.

CZASOWNIK



RZECZOWNIK

ROZWIĄZANIA KRZYŻÓWEK z NR 8 i 9

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 8:

POZIOMO: 1) Lackowa, 5) lampion, 9) Miastko, 10) Sorbona, 11) nit, 12) Robak, 13) Krzna, 14) strop, 17) kołpak, 19) lotnia, 21) Łosie, 22) Sekowa, 24) narwał, 27) Drawa, 30) parów, 32) rozum, 33) gil, 34) Rotunda, 35) Allende, 36) garlacz, 37) tancerz.

PIONOWO: 1) limeryk, 2) czambuł, 3) optyk, 4) amonit, 5) lustro, 6) Murek, 7) łożyn, 8) Niagara, 14) skład, 15) Rosja, 16) plena, 18) pro, 20) tur, 22) szparag, 23) kurator, 25) wrzenie, 26) lemieś, 28) rogacz, 29) wolant, 31) winda, 32) rulon.

HASŁO POMOCNICZE: Pesymizm rozumu i optymizm woli

Rozwiązanie krzyżówki z nr 9:

Poziomo: 1) Ramadan, 5. Bielawa, 8. Ikona, 9. Drachma, 10. Łomnica, 11. Gusta, 12. Nagaoka, 15. Grzanka,

18. Ratka, 19. Tymotka, 20. Neretva, 21. Baletki, 23. Podkowa, 25. Kakao, 27. Notable, 29. Dekowie, 31. Bra-ma, 32. Choinka, 34. Tanatos, 36. No-sze, 37. Adopcja, 38. Krynica.

Pionowo: 1. Rodonit, 2. Akcja, 3. Niagara, 4. Boksyt, 5. Balagan, 6. Lanca, 7. Atacama, 13. Gumolit, 14. Oktet, 16. Zarodek, 17. Netto, 21. Banicja, 22. Ikebana, 23. Podatek, 24. Awersja, 26. Kraksa, 28. Bon, 30. Wit, 33. Oko, 35. Ney.

Uznajemy też inne wersje rozwiązań następujących wyrazów: **POZIOMO** — 5: baglina; **POZIOMO** — 9: dosypka lub ducyna.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki z numeru 8 wylosowali pani Danuta Sarama z Krakowa i pan Ludwik Pudło z Nowego Sącza; z numeru 9 — panowie Andrzej Gicala z Bochni i Roman Klimek z Nowego Sącza.

ZAPROSILI NAS

Klub MPiK w Nowym Sączu na otwarcie wystawy malarskiej Bogumiły Rosiek-Pękaly;

• Miejski Ośrodek Kultury, Galeria Sztuki Ludowej w Nowym Targu na otwarcie IV Wystawy Plastyków Amatorów Nowego Targu i Zakopanego;

• Tatrzańskie Towarzystwo Kulturalne w Zakopanem na otwarcie wystawy malarstwa na szkle Jana Fudali „Jaska z Gorców” połączone z ekspozycją poezji góralskiej;

• Komitet Wojewódzki PZPR w Nowym Sączu na spotkanie czołowych aktywistów frontu ideologicznego.

OKRĘGOWE PRZEDSIĘBIORSTWO PRZEMYSŁU ZBOŻOWO-MŁYNARSKIEGO „PZZ” W KRAKOWIE

zatrudni natychmiast, na korzystnych warunkach placowych, w młynach na terenie miasta Krakowa, w Wieliczce, w Tarnowie i w Bielsku — kandydatów do pracy przyuczenia do zawodu

MŁYNARZA

posiadających wykształcenie

- ◇ średnie
- ◇ nie ukończone średnie
- ◇ zawodowe
- ◇ ukończoną szkołę podstawową

Mogą również zgłaszać się kandydaci zdecydowani do zmiany dotychczasowego zawodu.

Szczegółowych informacji udziela i zgłoszenia przyjmuje

Dział Spraw Pracowniczych Przedsiębiorstwa w Krakowie, ul. Pijarska 9, II piętro, tel. 217-96 codziennie w godz. 7.15—15.15.

K-8921

W osadzie na dalekiej północy żył starzec, który miał trzy córki. Biednie im się żyło. Mieli za mało ciepłej odzieży futrzanej. Kiedy ścisnęły najgorsze mrozy, siedzieli w jurcie i grzali się przy ognisku. Ale na noc gasili ogień i kładli się spać, a wtedy marzli aż do rana.

Jakoś w połowie zimy zawyla nad tundra straszliwa wichura ze śnieżyca. Wieje chłodem i kładli się spać, a wtedy marzli aż do rana. Starzec z córkami słuchał, jak wyje zamek, wreszcie mówił tak:

— Zawierucha sama się nie skończy. Wypuścił ją na świat Kotura, pan wiatrów. Pewno się gniewa. Widać chce, żebyśmy mu przysłali dobrą żonę. Idź ty, najstarsza córko, idź prosz, go, żebyś wstrzymała zamek. Jak nie pójdziesz, zginie cały nasz lud.

— Jakże mam pójść? — pyta córka. — Nie znam drogi.

— Dam ci małe saneczki. Pchnij je pod wiatr i pójdziesz za nimi. Wicher będzie ci rozwiązywać rzemyki u kołucha. Nie zatrzymuj się, nie włącz ich. Wicher będzie ci nabijał śnieg do futrzanych butów. Nie przystawaj, nie wytrasaj śniegu. Spotkasz wysoką górę. Wejdź na nią. Tam się zatrzymaj, zawiąż rzemyki u futra i wysyp śnieg z butów. Kiedy będziesz na tej górze, przyleci ptaszek. Będzie chciał usiąść ci na ramieniu. Nie odpędzaj ptaszka. Pogłaskaj go, ogrzej. Potem siadaj na sanki. Sanki zawiążą ci przed wejście do jurty Kotury. Wejdź tam. Niczego nie ruszaj. Usiądź i czekaj. Przyjdzie Kotura. Rób, co ci każe.

Najstarsza córka ubrała się, stanęła na sankach, pchnęła je pod wiatr i poszła za nimi.

Kiedy wicher rozwiązał jej rzemyki u futra — zatrzymała się i zawiązała je. Kiedy śnieg nasypał jej do butów — przystanęła i wysypała go. Długo szła i szła w zawiązane, wreszcie doszła do góry. Wdrapała się na nią z trudem. Wtem przyleciał ptaszek i chciał usiąść na jej ramieniu. Zaczęła machać rękami, więc ptaszek krążył, krążył, ale usiąść nie śmiał i odleciał.

Dziewczyna siadła na sanki, a sanki zawiązały ją prosto przed wejściem do jurty Kotury.

Weszła tam, patrzy — leży pieczone mięso jelenie. Rozpalila ogień, ogrzała się i zaczęła odrywać tłuszcz z pieczeni. Jadła kawał po kawałku. Dużo zjadła, bardzo dużo.

Wtem usłyszała, że ktoś podchodził do jurty. Uchyliła się skóra u wejścia i wszedł młody olbrzym. To był Kotura, pan wiatrów. Popatrzył na dziewczynę i zapytał:

— Skąd przyszedłaś? Czego tu chcesz?

— Ojciec przysłał mnie do ciebie.

— Po co?

— Żebyś mnie wziął za żonę.

— Wstań i ugotuj mięso, które przyniosłem z polowania. — Dziewczyna ugotowała mięso. Kotura zaczął je podzielić na dwie równe części i powiedział:

— Jedną połowę my będziemy jeść, a drugą włoż do niecutki i zanieś do sąsiedniej jurty. Nie wchodzi tam, tylko poczekaj u wejścia. Wyjdzie do ciebie stara kobieta. Oddaj jej mięso i czekaj, aż ci wyniesie niecutkę.

Dziewczyna wzięła mięso i wyszła z jurty. A zawierucha dookoła wyje, śnieżyca sypie, mroźna wichura szarpie — nie widać nic. Co można znaleźć w takiej zameczce?

Dziewczyna odeszła trochę w bok. Poszła, pomyślała — i wyrzuciła mięso w śnieg. Wróciła do jurty z pustą niecutką.

Kotura popatrzył na nią i zapytał:

— Zaniósłaś mięso?

— Zaniósłam.

— Pokaż niecutkę. Zobaczę, co dostaniesz za to. Dziewczyna pokazała

pustą niecutkę. Kotura nie nie powiedział. Podjadł sobie i położył się spać.

Na drugi dzień rano wstał, przyniósł do jurty surowe skóry jelenie i rozkazał:

— Idę na polowanie, a tymczasem wypraw te skóry i uszyj mi z nich ubranie, kapce i rękawice. Kiedy wrócę, przekonam się, co potrafisz.



TRZY SIOSTRY U WŁADCY WICHRÓW

(baśń syberyjska)

Poszedł polować w tundrze, a dziewczyna wzięła się do roboty.

Wtem uniósł się skóra u wejścia. Siwa, stara kobieta weszła do jurty i poprosiła:

— Coś mi wpadło do oka, nie mogę tego wyjąć. Pomóż mi.

— Nie mam czasu! — zawołała dziewczyna. — Nie przeszkadzał mi w robocie!

Staruszka nie nie powiedziała, tylko odwróciła się i wyszła. Dziewczyna została sama. Szyje odzież dla Kotury.

Wieczorem Kotura wrócił z polowania i pyta:

— Odeź dla mnie gotowa?

— Gotowa.

Kotura pomacał — skóry twarde, źle wyprawione. Obejrzał — zeszyte krzywo, nie na jego miarę. Rozgniewał się i wypędził dziewczynę z jurty.

Zawierucha sypnęła śniegiem jeszcze gęściej, zawyla jeszcze okrutniej.

Siedzi starzec w swojej jurcie dniami i nocami, słucha wycia wicheru. Wreszcie mówił tak:

— Najstarsza córka nie posłuchała mnie. Zrobiła nie tak, jak jej kazałem. Dlatego zamek nie ustaje. Kotura się gniewa. Druga moja córka, zbierał się w drogę.

Zrobił saneczki, powieźbinał jej to

samo, co mówił najstarszej i wysłał ją do Kotury.

Srednia córka pchnęła saneczki pod wiatr i poszła za nimi. Po drodze wiatr rozwiązywał jej rzemyki u futra, przewalała ją mroźna wichura. Nabito jej śniegu do butów, nozi jej zmarzły. Nie wytrzymała. Za wczesnie zawiązała rzemyki, że wczesnie wysypała śnieg. A na górze odpędziła ptaszka.

Zjechała na saneczkach pod jurty Kotury. Weszła, rozpalila ogień i naładła się jeleniej pieczeni. Kiedy wrócił Kotura, ugotowała mięso, jak kazał. Ale nie odniosła połowy staruszcze, tylko wyrzuciła mięso w śnieg. A Koturze powiedziała, że odniosła.

Na drugi dzień rano Kotura dał jej surowe skóry jelenie do wyprawienia i uszyja, a sam poszedł polować w tundrze.

Tymczasem przyszła staruszka i poprosiła dziewczynę, żeby wyjechała, co jej wpadło do oka. Ale dziewczyna nie chciała pomóc i staruszka poszła sobie.

Kotura wrócił i rozgniewał się znowu, że skóry są twarde i odzież źle uszyja. Wypędził dziewczynę z jurty.

Zawierucha nie ustawała.

Starzec czekał, czekał wreszcie posłał do Kotury najmłodszą, ukochaną swoją córkę.

Dziewczyna wyszła z jurty, pchnęła sanki pod wiatr i poszła za nim. A zadyłka wyje, szarpie, chce zwałić ją z nog, osłepić i zabić.

Dziewczyna idzie i przypomina sobie, co jej ojciec mówił, słowo po słowo.

Wicher rozwiązuje jej rzemyki, wgrzyza się pod futro — dziewczyna nie zatrzymuje się, żeby je zawiązać. Śnieg pcha się do butów i mrozi jej nogi — dziewczyna nie przystaje, żeby go wysypać. Brnie przez zasy, idzie i idzie.

Napotkała wielką górę. Weszła na nią, chając przed sobą sanki. Na górze przystanęła, zawiązała rzemyki i wysypała śnieg. Przyleciał ptaszek i przysiadł jej na ramieniu. Dziewczyna pogłaskała jego piórka i ogrzała go oddechem. Ptaszek odleciał, ona siadła na sanki i zjechała prosto przed jurty Kotury.

Weszła do jurty. Nie nie tknęła, tylko usiadła i czeka.

Wtem ktoś uchylił skórę u wejścia i ukazał się młody olbrzym. Popatrzył na dziewczynę i zapytał:

— Skąd przyszedłaś? Czego tu chcesz?

— Ojciec przysłał mnie do ciebie.

— Po co?

— Kazał mi prosić ciebie, żebyś wstrzymała zamek. Jeżeli tego nie zrobisz, to wymrą wszyscy ludzie w naszej osadzie.

— Rozpal ogień i ugotuj mięso — rozkazał Kotura. — Głodny jestem. A i ty, widzę, nie nie jadłaś jeszcze.

Dziewczyna przedko ugotowała mięso. Olbrzym najadł się, dał dziewczynie jeść, a połowę mięsa kazał jej odnieść do sąsiedniej jurty.

Dziewczyna wzięła niecutkę z mięsem i wyszła. A zawierucha wyje dookoła, śnieżyca sypie — nie widać nic. Dokąd iść? Gdzie szukać tamtej jurty? Dziewczyna postąpiła, pomyślała — i poszła przed siebie.

Wtem przyfrunął ten sam ptaszek, co to przyleciał do niej na górze. Zatrząsał skrzydłkami tuż przy jej twarzy, jakby ją wołał za sobą. Dziewczyna poszła za ptaszkiem. Gdzie ptaszek leci, tam i ona idzie.

Szła, szła przez zasy, aż tu z boku zamigotała jej jakaś iskierka. Ucieszyła się i poszła w tę stronę, myślała, że to jurta.

Podszła bliżej — nie widać jurty, tylko pagórek pod śniegiem. A ten pagórek dymi.

Dziewczyna obeszła go dookoła, trąciła nogą — osypał się śnieg i zobaczyła wejście. Wyjrzała stamtąd siwa staruszka i zapytała:

— Coś ty za jedna? Czego tu chcesz?

— Babciu, przyniosłam mięso. Kotura mi kazał oddać ci wam.

— Kotura kazał? No to daj. A sama poczekaj na dworze. Sio! dziewczyna przed pagórkami i czeka.

Wreszcie znow otworzyło się wejście, wyjrzała staruszka i oddała jej niecutkę. Coś w niej było, ale dziewczyna nie nie ruszała, tylko zawróciła do jurty Kotury.

— Gdzieś chodziła tak długo, znalazłaś staruszkę? — zapytał Kotura.

— Znalazłam.

— Oddałaś jej mięso?

— Oddałam.

— Pokaż niecutkę. Zobaczę, co ci dała za to.

Kotura zajął do niecutki, a były tam noże, skrobaki, niedłarki, wszystko czego potrzeba do wyprawiania skór. Były też stalowe igły.

Na drugi dzień rano Kotura wstał, przyniósł do jurty surowe skóry jelenie. Kazał dziewczynie wyprawić je i uszyć dla niego ubranie, kapce futrzane i rękawice.

— Jak dobrze uszyjesz, to cię wezmę za żonę — powiedział.

Poszedł. Dziewczyna zabrała się do roboty. Teraz dopiero przydał jej się podarek staruszek: miała wszystkie potrzebne narzędzia. Ale dziewczyna nie traciła czasu na rozmyślanie nad tym, czy złączy, tylko pracowała ze wszystkich sił.

Wyginała skóry, skrobie kraje, szyje. Robi co może.

Wtem stała u wejścia staruszka i mówi:

— Pomóż mi. Coś mi wpadło do oka i nie mogę tego sama wyjąć.

Dziewczyna odłożyła robotę na bok i wyjęła pylek z oka staruszek. Poznała przy tym, że to ta sama staruszka, do której odniosła mięso.

— Już dobrze, już mnie oko nie boli — powiedziała kobieta. — Teraz zajął mi do prawego ucha.

Dziewczyna zajął do prawego ucha i przeszywała się.

Co tam zobaczyłaś? — zapytała staruszka.

— Babciu, w twoim uchu siedzi jakaś dziewczyna.

— To czemu jej nie zawołasz? Zawołaj ją, ona ci pomoże.

Ucieszyła się najmłodsza siostra i zawołała tamtą dziewczynę do pomocy. Wtem z ucha staruszek wyskoczyła, nie jedna, tylko aż cztery młode dziewczęta. Wszystkie zabrały się do roboty: wygniały skóry, skrobą, kroją, zeszywają. Pięć robotnic to nie to samo co jedna, wszystko uszyły w mig.

Wtedy staruszka schowała swoje cztery córki do ucha i wyszła z jurty.

Wieczorem Kotura wrócił z polowania i pyta.

— Uszyłaś wszystko, co ci kazałem?

— Uszyłam.

— Pokaż, to obejrzy i przyniesie.

Pomacał Kotura odzież — skóry międkie. Nalożył na siebie wszystko w sam raz. Nie za wąskie, nie za szerokie, skrojone w miarę, zeszyte mocno i równo. Uśmiechnął się i powiada:

— Spodobałaś mi się. Mojej matce i moim czterem siostrom także się podobasz. Pracujesz dobrze, i dzielna jesteś, przysłałaś odważnie w taką wichurę i zamek, żeby twój lud nie zginął. Bądź moją żoną! Zostań w mojej jurcie.

Zaledwie to powiedział, w całej tundrze wicher przestał wiać, śnieg przestał padać i zawierucha ustała. Ludzie zamiast się kryć i marznąć — powychodzili ze swych jurty i cieszyli się.

Staruszek wyszedł także z jurty. Uśmiechnął się, wiedział, że jego ukochana córka ocalała.

PIĄTEK

PROGRAM I

- 6.00, 6.30 TTR, RTSS;
9.00 Dla szkół: geografia, kl. 5 — na polach ryżowych;
9.55 Dla szkół: kl. 5 — na Śląsku;
11.00 Dla szkół: wychowanie obywatelskie kl. 8 — handel zagraniczny;
11.55 Dla szkół: wychowanie obywatelskie, kl. 7;
12.50 Dla szkół: geografia, kl. 8 — bogactwo Brazyliz;
15.05 Redakcja szkolna zapowiada;
15.30 Nurt;
15.50 Program dnia;
15.55 Obiektyw;
16.15 Dziennik;
16.30 Dla dzieci: „Kokko granaste”;
16.55 „Dzień dobry w kręgu rodziny”;
17.20 „Klub dobrej książki”;
17.50 „Pod jednym dachem” (2) — komedia prod. CSRS;
18.40 Rolnicze rozmowy;
18.50 Dobranoc;
19.00 Telewizja młodych przedstawia — c.d.n.;
19.30 Dziennik;
20.10 Kaprys Studio Gama — reż. — Bogdan Łazuka;
21.35 „Listy o gospodarce”;
22.15 Dziennik;
22.30 „Osobowy 19.80” (1) progr. satyryczny;

PROGRAM II

- 10.00—12.40 — Dwójka dla drugiej zmiany — premiery dnia
10.00 „Pod jednym dachem” (2) komedia CSRS;
10.50 „Siedemnaście mgieł wiosny” (12);
12.00 Klub Jazzowy Studio Gama — zespół Sun Ship;
16.12 Język franc. — kurs podst., lek. 13;
16.45 Język ros. — kurs podst., lek. 13;
17.15 Program dnia;
17.20 Dla dzieci: „Kino obywatelskie”;
17.50 Klub Jazzowy Studio Gama — zespół Sun Ship;
18.30 Spotkania literackie;
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.15 „Weronika i inni” (1);
21.25 24 godziny;
21.40 I liga hokeja na lodzie;
22.00 Kino miniatur;
23.00 Język franc. — kurs podst., lek. 13;

SOBOTA

PROGRAM I

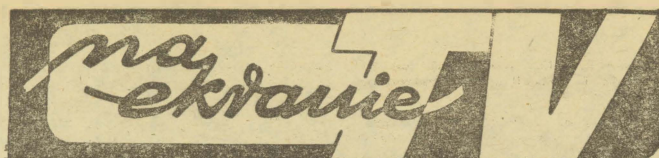
- 8.55 Program dnia;
9.00 „Tobie ojczyzna” — wojak. film dok.;
9.45 Koncert WOSPRIT;
10.35 „Człowiek, ziemia, kosmos”;
11.05 „W święcie i ciemni legendy” — Anteo-
li Kenar — rep. film;
11.20 Dziennik;
11.55 STUDIO — 2;
18.50 Dobranoc;
19.30 Dziennik;
20.10 „Dom” (1) — „Co ty tu robisz calow-
ku” — film obycz.;

PROGRAM II

- 14.55—22.55 — Spotkania w dwójce
15.00 „Poemat warszawski” — widowisko
poetycko-muzyczne;
15.30 Filmy dokumentalne;
16.25 „Przeboje mistrzów” — program Janu-
sza Cegieli;
17.15 „Siedemnaście mgieł wiosny” (13);
18.30 „Stopklatka”;
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.15 Clifton Chenier i Louisiane Red Hot
Band;
21.15 Mówić nie mówię;
21.45 Recital Lidi Stanisławskiej;
22.05 „Dzień Wisły” — pol. film dok.;
22.40 „Poeci recytują wiersze” — Zbigniew
Stawicki;

TV BRATYSŁAWA

- 11.05 „Rubens — malarz i dyplomata” —
belg. film ser. (3);
12.00 Echa;
12.25 Popołudnie sportowe;
18.20 Program dnia;
18.30 „Arabella” (8);
19.30 Dziennik T.V.
20.00 Progr. rozrywkowy;
21.00 24 godziny na świecie;
21.25 Czeski film psychol. — „Daleki pój-
cie”;
22.55 Komik i jego świat;
23.25 Barwna paleta melodii.



16.1-22.1

NIEDZIELA

PROGRAM I

- 7.10 TTR, RTSS;
7.30 „Alarm przeciwpożarowy trwa”;
7.40 „Nowoczesność w domu i zagrodzie”;
8.10 Emerytura dla rolników;
8.20 Telewizja;
8.55 Program dnia;
9.00 Dla dzieci: telekanek;
10.20 Antena;
10.45 „Sporowcie — 1000 lat niezwykłej kul-
tury” (3);
11.40 Dziennik;
12.00 „Gdy się powiedziado a...”
12.30 Camille Saint-Saens — koncert forte-
pianowy nr 5 F-dur op. 103 gra Bernard
Ringelssens oraz orkiestra PRITV w Kra-
kowie pod dyr. Antoniego Wita;
13.05 Dla dzieci: „Bałki pana Perrault” —
„Śpiąca królewna”;
13.45 „Blisko i daleko” — progr. reporterów;
14.20 Losowanie dużego lotka;
14.40 „Zgadnij, kim jestem”;
15.25 „Zielona ziemia” — pol. kom. film,
reż. — Filip Bajon, w roli głównej Jan
Pietrzak;
16.25 Sportowa niedziela;
17.00 „Już któryś list” — śpiewa Kazimierz
Kowalski;
17.30 „Tele-echo”;
17.40 W świecie dzikich zwierząt;
18.00 Wiecej;
19.30 Dziennik;
20.10 „Spotkanie” — melodramat ang.
21.55 Sportowa niedziela;
22.25 Program muzyczny;

PROGRAM II

10.00—22.20 — Spotkania w dwójce

- 10.00 Tylko dla kibiców;
10.30 Życiu przywocna — progr. wojak;
11.05 Przeboje tygodnia;
12.30 „Dom” (1) — „Co ty tu robisz calow-
ku” — film obycz. TP;
13.50 „Turniej teleturniej”;
14.40 „Popołudnie fauny i flory” (18);
15.30 „Gwiazdy Sopotu 80” — Gloria Eaynor;
16.30 Teatr telewizji — Edward Redliński —
„Pustaki”;
18.00 „Stereo i w kolorze” — recital Wandy
Wilkomirskiej;
19.30 Dziennik;
20.15 „Twórcy i jego dzieło” — rzeźby Wal-
tera Arnolda;
20.45 Sportowa niedziela;
21.30 „Zanieczyszczona Japonia” — japoński
film dok.;
21.55 Święty Michał miał koguta — dramat
społeczno-polityczny prod. włoskiej;

TV BRATYSŁAWA

- 10.50 „Decydujący front” (12);
12.30 Popołudnie sportowe;
13.10 Darzabjan i Pandrola — czeska
bajka film;
18.30 Wiecej;
18.40 Dział Jesteśmy u Was;
19.30 Dziennik T.V.
20.05 J. Hubacz: „Niedozbrane makany”;
20.40 Kultura 1981;
22.40 Przegląd hokejowy.

PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 9.00 Dla młodych widzów: „Teleferie” oraz
film animowany z serii „Wojna pla-
net”;
15.20 Nurt;
15.55 Program dnia;
16.15 Obiektyw;
16.30 Dla młodych widzów: Kino teleferii —
„Fabryka snów” — amerykański film
anim.
16.55 „Klinika zdrowego człowieka”;
17.15 „Arsene Lupin” — „Tajemnica rodu
Gesuress”;
18.10 „Impulsy” — magazyn spraw pracow-
niczych;
18.40 „Zycie i zdrowie”;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Echa stadionów”;
19.30 Dziennik;

20.10 Teatr poniedziałkowy — Enn Vetemaa —
„Pomnik”;
21.30 „Horyzont”;

PROGRAM

- dwójka dla drugiej zmiany — premiery
dnia.
10.00 „Klinika zdrowego człowieka”;
10.30 „Najlepszy kolega” — film TP;
11.00 Kosmos;
16.00 Język niem. — kurs podst., lek. 14;
16.30 Język ang. — kurs dla zaawansowanych,
lekcia 7;
17.00 Program dnia;
17.05 Czy możemy się wyżyć;
17.35 Program rozrywkowy;
17.50 Syberia — rep.;
18.30 Repertaz filmowy;
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.10 Kosmos — dziś w programie;
20.15 „Zielona drzy” — czy możemy przewi-
dywać przesilenia ziemi;
20.40 Listy z Ziemi do kosmosu;
20.50 Czy znasz swój szczególny kamień? —
magia kamienia w tradycji historycz-
nej;
21.10 „Oskulowana ziemia” — o jałowieniu
gleb i rekultywacji;
21.30 „Rośliny z probówek” — film popular-
nonaukowy;
21.40 „Ziemia — planeta ludzi” — film anim.;
21.50 „Świat bez słońca” — film dok. o wy-
prawie polskich speologów do jaskiń
Ameryki Południowej;
22.20 „Listy z ziemi do kosmosu”;
22.30 „Rytmu planety” — tańce syberyjskie;
22.45 Polski film telewizyjny — „Najlepszy
kolega”;
23.10 Język niem. — kurs podst., lek. 14;

WTOREK

PROGRAM I

- 9.00 Dla dzieci: „Teleferie najmłodszych”
oraz film: „Wojna planet”;
9.50 Dla szkół: język polski, kl. 2 lic. —
„Balladyna” (3);
14.30 Telewizja w sprawie miliardów;
15.50 Program dnia;
15.55 Obiektyw;
16.15 Dziennik;
16.30 Telewizyjny klub seniora;
16.55 Dla dzieci: Kino telewizji najmłod-
szych;
17.25 „Dom i my”;
17.40 „Krolik Bugs przedstawia” — film
anim. prod. USA;
18.00 Telewizja młodych przedstawia — ma-
gazyń C.D.N.;
18.40 Polska Kronika Filmowa;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Skarbice” — magazyn historyczny;
19.30 Dziennik;
20.10 „Martin Luther King” (2) dramat
prod. USA;
21.45 „Czy możemy się wyżyć” — progr.
publ.
22.10 Dziennik;
22.35 Telewizja w sprawie miliardów;
22.50 Puchar — slalom kobiet —
Crans Montana;

PROGRAM II

- dwójka dla drugiej zmiany — premiery
dnia.
10.00 „Skarbice”;
10.30 „Słowa za słowa” — Adam Wazyk;
11.10 Teatr melomana;
16.00 Język ang. — kurs podst., lek. 14;
16.30 Język niem. — kurs podst., lek. 14;
17.00 Program dnia;
17.05 Dla młodych widzów: Lidar;
17.35 „Tak czy inaczej” — progr. publ.
18.05 Słownik sztuki współczesnej — „Sztu-
ka współczesna”;
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.10 Wokale melomana;
21.10 24 godziny;
21.40 Dla młodzieży — poradnia „Zaufanie”;
21.50 „Słowa za słowa” — Adam Wazyk;
22.15 „Bez recepty”;
23.00 Język ang. — kurs dla zaawansowa-
nych, lek. 7;

ŚRODA

PROGRAM I

- 9.00 Dla młodych widzów: „Teleferie” oraz
film z serii „Wojna planet”;
14.30 „Czwizja w sprawie miliardów”;
15.20 Nurt;
15.50 Program dnia;
15.55 Obiektyw;
16.15 Dziennik;
16.30 Dla młodych widzów: kino teleferii:
„Fabryka snów” — amerykański film
anim.;
16.55 „Dzień dobry w kręgu rodziny”;
17.20 Losowanie małego lotka i express
lotka;
17.30 „Klub dobrej książki”;
17.55 „Forum korespondentów”;
18.25 „Turystyka i wypoczynek”;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Camera” — mag. muz.;
19.30 Dziennik;
20.10 Kino interesujących filmów — „Dra-
mat na polowaniu” — Emil Lo-
taniy;
22.00 „XYZ” (1);
22.30 Dziennik;
22.45 „XYZ” (2);
23.15 Telewizja w sprawie miliardów;

PROGRAM II

- dwójka dla drugiej zmiany — premiery
dnia.
10.00 „Tryptyk” — dramat obycz. ZSRR;
11.20 „Turystyka i wypoczynek”;
11.45 Antyczny świat prof. Krawczuka —
„Sumerowie”;
15.50 Język ang. — kurs dla zaawansowa-
nych, lek. 7;
16.20 Język ang. — kurs podst., lek. 14;
16.50 Program dnia;
16.55 Program młoki;
17.25 TWP — „Wartości kultury ludowej”;
17.55 „Tryptyk” — dramat obycz. prod.
ZSRR;
19.10 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.10 „Ekrany reporterów”;
20.40 Antyczny świat profesora Krawczuka —
„Sumerowie”;
21.10 24 godziny;
21.20 „Wieczorne rozmowy w kręgu rodzi-
ny”;
21.50 „Teatrzańskie pastorałki” — dramat
sens. prod. CSRS;
23.10 Język ang. — kurs podst., lek. 14;

CZWARTEK

PROGRAM I

- 9.00 Dla dzieci: Teleferie najmłodszych oraz
film z serii „Wojna planet”;
9.55 Dla szkół: język polski, kl. 2 lic. —
„Inscenizacja teatralna”;
12.50 Dla szkół: język polski, kl. 4 lic. —
W. Szymborska;
14.30 Telewizja w sprawie miliardów;
15.20 Program dnia;
15.25 Dla młodych widzów;
15.55 Obiektyw;
16.15 Dziennik;
16.30 Dla młodych widzów: kino teleferii;
17.30 Magazyń sportowy;
17.55 „Podchorążowie, armaty, rakiety...” —
rep. wojsk.;
18.20 Telewizja młodych przedstawia C.D.M.
Aneks do historii;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Sonda” — „Diagnoza”;
19.30 Dziennik;
20.10 Ostatnie wakacje — film kasy. prod.
RFN;
21.45 Pegaz;
22.30 Dziennik;
22.45 Stwierdzenie pieśni śpiewa Neila An-
tuso;
23.00 Telewizja w sprawie miliardów;

PROGRAM II

- dwójka dla drugiej zmiany — premiery
dnia.
10.00 „Popołudnie podróży i przygody”;
11.05 „Sonda”;
11.30 Magazyń motoryzacyjny;
16.00 Język ros. — kurs podst., lek. 14;
16.30 Język franc. — kurs podst., lek. 14;
17.00 Program dnia;
17.05 Poradnik działkowca;
17.35 „Popołudnie podróży i przygody”;
19.10 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.10 Nurt;
20.40 Nurt;
21.10 Nurt;
21.40 24 godziny;
21.50 Wiecej filmowy;
23.00 Język ros. — kurs podst., lek. 14;

Za zmiany w programie wprowadzone
w ostatniej chwili, redakcja nie bierze
odpowiedzialności.

(Przypominamy, że drukiem pogrubio-
nym wyróżniamy filmy szczególnie przez
nas polecane.)

GORLICE — Wiarus: 17—19 Ukochana
żona (włoski, obyczajowy), 20—22 Szal
(brytyjski, thriller); GRYBÓW — Biała:
17—19 Z przeważanymi oczami (hiszpań-
ski, psychologiczno-polityczny), 20—22
Patriotki (hiszpański, powieściowy, dra-
mat rodzinny); KRYNICA — Jaworzyna:
17—20 Constans (polski, moralitet), 21—25
Powrót Mechagoddzilli (japoński, sensa-
cyjno-fantastyczny); LIMANOWA — So-
już: 15—18 Powrót Mechagoddzilli (japoń-
ski, sensacyjny-fantastyczny), 20—21
Grzeszny żywot Franciszka Buły (polski,
komediowa baładowa), 22—23 Zna-
mia różowej pantery (brytyjski, gro-
teska); MSZANA — Lubon: 15—18 Trzy-
dziest dziewięć stopni (brytyjski, szpie-

REPERTUARIUM KIN

gowski), 20—21 Spotkanie na Atlantyku
(polski, psychologiczny), 22—25 Powrót do
domu (USA, psychologiczno-społeczny);
MUSZYNA — Baszta: 16—17 Skrzydło
czy nożka (francuski, farsa), 18 Flot sto-
p (francuski, policyjny), 20—21 Tropem
tygrysa (francuski, przygodowy); NOWY
SĄCZ — Kolejarz: 15—18 i 20 Chiński
syndrom (USA, sensacyjny), 21—22 Praw-
dziwe życie Draculi (rumuński, histo-
ryczny); NOWY SĄCZ — Krokus: 16—18
Orkiestra Klubu Samotnych Serc Sier-
żanta Peppera (USA, muzyka rockowa),
19 Dzieje — Zielony pokój (francuski,
psychologiczny), 20—22 Wyrok śmierci
(polski, dramat okupacyjny); NOWY
SĄCZ — Podhale: 13—17 Bez miłości

(polski, psychologiczno-społeczny), 18—21
Biała Między (USA, wojenny), 22—26
Constans (polski, moralitet); NOWY
TARG — Tatry: 15—19 Głina czy lajdak
(francuski, policyjny), 20—22 Tango
płaz (polski, młodzieżowy);
23—25 Słonek: 15—18 Kontrakt (pol-
ski, komediodramat społeczny), 20—21
Ofiara (węgierski, psychologiczno-krymi-
nalny), 22—25 Słonek Machagoddzilli (ja-
poński, sensacyjno-fantastyczny); ST.
RY SĄCZ — Poprad: 17—19 Rocky II
(USA, sportowy), 20—22 Wyznawcy miłości
(francuski, dramat rodzinny); SZCZAW-
NICA-KROŚCIEWKO — Pieniny: 16—18
Rocky II (USA, sportowy), 20—21 Młody
Frankenstein (USA, groteska), 22—23 Po-

wrót człowieka zwanego Koniem (bry-
tyjski, indyjski); SZCZAWNICA-KRO-
ŚCIEWKO — Sokolice: 17—18 Każdy
umiera w samotności (RFN, dramat anti-
faszystowski), 19—21 Szukaj wiatru (ra-
dziecki, przygodowy); ZAKOPANE —
Giewont: 16—18 Brawurowe porwanie
(USA, sensacyjny), 19—21 Rok Święty
(francuski, sensacyjny), 22—28 Parszywa
dwunastka (USA, wojenno-przygodowy);
Ponadot: JABLONKA: 17—18 Młody
Frankenstein (USA, groteska); JORDA-
NOWO: 21—23 Przybywa jeździec... (USA,
western); LUBEN: 18 Zwolnienie wa-
runkowe (USA, kryminalno-społeczny);
ŁOSOSINA: 17—18 Koronczarka (gwaj-
carsko-francuski, o miłości); RABA-
WYŻNA: 17—18 Obcy — 8 pasażer „No-
strom” (brytyjski, horror kosmiczny);
RYTRO: 16—17 Chiński syndrom (USA,
sensacyjny); TYMBARK: 20—21 Amator
(polski, społeczny).

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz (sekretarz odpowie-
dzialny), Adam Garbicz, Elżbieta Glinka (zastępca redaktora naczelnego), Antoni Kroh, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelnego), Franciszek Palka
(redaktor graficzny), Krzysztof Podbiara (redaktor techniczny), Stanisław Śmierciak (fotoreporter). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. St. Żółkiewskiego 11.
Telefony: 238-36, 238-90. Teleks: 0327248, Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58. telefon 203-29, 275-88, wewn. 238. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wy-
dawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Krakowie, ul. Wielopole 1.
Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków telefon: 270-89, oraz wszystkie Biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na
terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Informacji o warunkach prenumerat udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-
Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumerat rocznej — 208 zł. Prenumerat se zdecenim wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Cer-
tralna Kolportaż Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11, prenumerata ta jest
droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Nr indeksu 35657, F-4.

Anegdoty

Pablo Picasso najbardziej lubił samotność. W związku z tym nie przepadał raczej za dziennikarzami, którzy nagabywali go niemal codziennie, pytając o zdanie na różne tematy. Jeden z dziennikarzy zapytał Picassa, co sądzi o pięknych kobietach.

— Ich przydatność jest znaczna. Przede wszystkim przynoszą pożytek amantom, malarzom bez wyobraźni oraz dziennikarzom, którzy mogą na ich temat plotkować.

Rozmawiano o kobietach. Tolstoj długo słuchał bez słowa i naagle powiedział:

— A ja o babach powiem prawdę, ale dopiero wtedy kiedy jedna noga będzie już w grobie. Powiem, skórze do trumny, wiekiem się przykręję — weźcie mnie wówczas!

I jego spojrzenie błysnęło tak swawolnie, że wszyscy zamilkli.

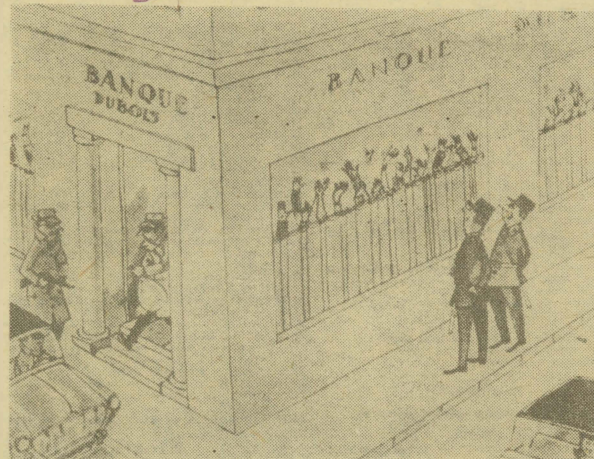
Podczas zabawy karnawalowej w Krakowie podeszła do Boya-Zeleńskiego grupa młodych literatów i zaczęła snuć przed nim wizję swej twórczości. Jeden z młodzieńców rozochocony licznymi toastami i cierpliwością Boya, powiedział:

— Moje dzieła będą cytane i rozslawiać mnie, kiedy o Żeromskim. Prusie czy Mickiewiczu dateno już wszyscy zapomną! Prawda, panie Tadeuszu?

— Ma pan zupełną rację — rzekł z uśmiechem Boy-Zeleński — ale nie wcześniej, nie wcześniej...

Wybitnego biologa i twórcę mikroskopijnej anatomii patologicznej — Rudolfa Virchowa — zapytano kiedyś, co łączy zawód lekarza z zawodem adwokackim, że zaliczane są do grupy wolnych zawodów. Virchow odpowiedział:

— Bo lekarz niejednemu zamyka oczy, a adwokat otwiera.



— Ci w bankach też się potrafią dobrze bawić podczas pracy!

„Paris Match”

Trudno osiągnąć sukcesy wychowawcze tym, którym sztuka przemawiania kojarzy się wyłącznie z mównicą.

Nadmiar drogowskazów na życiowej drodze niejednego zaprowadził na manowce.

Czasem o położeniu ucznia w szkole decyduje jego postawa, czasem pozycja jego rodziców.

Eugeniusz Korkosz

Refleksje wychowawcy

Jednym z elementów trudnej sztuki praktycznego postępowania się językiem jest również umiejętność trzymania go w stosownych chwilach za zębami.

Ilu jest Polaków na świecie?

Powszechnie wiadomo, że aktualnie liczba ludności Polski przekroczyła 35,5 miliona obywateli, a wkrótce na świat przyjdzie 36-milionowy Polak. Ilu natomiast jest Polaków na świecie, poza granicami ojczystego kraju? Na to pytanie trudniej dziś odpowiedzieć. Nawet naukowcy prezentują szacunkowe, często sprzeczne ze sobą dane. Jedni twierdzą np. — że liczbę Polonii na całym świecie określilem w przybliżeniu można na około 8 milionów ludzi. Natomiast inni specjaliści, którzy wliczają do liczby ludzi polskiego pochodzenia wszystkich tych potomków naszych rodaków, którzy wyemigrowali z kraju przed 1918 rokiem, kiedy to Polska nie istniała i narodowość określano w zależności od miejsca urodzenia w zaborze austriackim, pruskim, rosyjskim — obliczają, że liczba Polonii na świecie wynosi od 12 do 14 milionów ludzi.

Cóż z tego, że uczeń zna na pamięć życiorysy ludzi mniej lub bardziej znanych, skoro własnego poprawnie napisać nie potrafi.

I do tych, którzy znają szkolę tylko z opowiadań kolegów, można się czasem czegoś nauczyć.

Piękna to cecha znać dokładnie swoje wady, gorzej, jeśli jest to jedyna nasza zaleta.

O TYM, JAK ZABIŁEM ĆWIEKA PANU MORISSONOWI (fragment bułgarskiej humoreski)

Spotykam dawnego kolegę ze szkoły, obecnie dyrektora przedsiębiorstwa, a on się chwali:

— Byłem — powiada — na Zachodzie. Widziałem na własne oczy tych słynnych kapitalistów. Widziałem ich w negliżu i niech teraz przyjdą mnie pocałować. Jesteśmy prości, nie mamy kooperantów firmy „Morisson”. Weźmie człowiek do ręki ich gazetę, włączy radio czy telewizor — ciągle reklamy „Morissona”. Pójdzie na koncert, czy na mecz — znów „Morisson”. Słowem byłem u nich w zeszłym roku, i jak to się mówi poznałem od podszewki. Tyle tej reklamy, a jak dałem kierowcy tak-sówkę adres, to nie mógł trafić na miejsce. Wziął mnie po jakichś podejrzanym zaukach, kręcił, a wreszcie rozkłada ręce. Nie ma, powiada takiego adresu! Jak może nie być, mówię, firma „Morisson” znana jest na całym świecie. Wtedy się roześmiał, wcisnął gaz i wyszedł mnie w wąskiej uliczce przed moim kantorkiem. Za ścianą ze szkła tylko jedna sekretarka.

Kiedy wreszcie przestała wydzierać, przedstawiłem się i powiedziałem w jakiej sprawie. Ona kiwnęła głową i wcisnęła kolejny guzik. Po paru minutach pojawiła się inna dziewczyna i powiedziała czysto po bułgarsku:

— Proszę za mną, pan Morisson pana oczekuje. — I jak sądzisz, dokąd mnie zaprowadziła? Do stojącego naprzeciwko hotelu. Siadamy w halu. Częstoju mnie, nie pamiętam czy to whisky, czy dzin z lodem, ale naturalnie odmawiam. Nie będę przecież żłopał tak od progu. Po chwili tłumaczka prowadzi mnie na pierwsze piętro do gabinetu.

Nie było tam ani stołu konferencyjnego, ani transparentów, nawet palmy nie było. Jedynie skromne biurko z telefonem, a za tym biurkiem pan Morisson. Podaje mi rękę i od razu proponuje przejść do sedna sprawy, wcale nie pytając, jak zajął się, czy

o coś takiego. W tym momencie wchodzi inny mężczyzna z teczką w ręku. O cokolwiek pytam, ten wyciąga kartkę z teczki i odpowiada. Kiedy mówię coś nowego, natuje i wkłada kartkę do teczki. Nikt rozmowy nie protokuluje. Potem pan Morisson zaprosił mnie na obiad na dół do restauracji. Obiad był skromny, bardzo skromny, żeby nie powiedzieć marny. Zupa nawet smaczna, potem drugie z mięsem, no i... kawa. Zaproponowali mi wino, ale odmówiłem, sam przecież nie będę pić. Pan Morisson cały czas wlewał w siebie herbatę.

Słowem spodziewałem się — wdycha mój szkolny kolega — marmurowych pałaców, tymczasem słynna na cały świat firma podjęła mnie i prowadziła rozmowy w hotelu...

Ale tu nie koniec, otóż tydzień temu pan Morisson odwzajemnia mi wizytę. Czekaj, kochany, mówię sobie, zobaczysz, co to znaczy bułgarskie przedsiębiorstwo. Czekamy na niego już na lotnisku. Nie pozwalamy, by przyjechał taksówką. Tłumaczka — istna piękność! Tyś u mnie nie był więc musisz wiedzieć, że do mojego gabinetu przechodzi się przez długi korytarz. W tym właśnie korytarzu czekają moje panie ustawione w szpal. Wszystkim powiedziałem, żeby zrobiły sobie modne fryzury i rzeczywiście można było pomyśleć, że to jakas rewia. Tylko fartuszek zdradzał, z kim ma się do czynienia. Każda trzyma goździk i wręcza panu Morissonowi, gdy ten przechodzi obok. Słowem pan Morisson wszedł do mojego gabinetu cały w kwiatkach. Na jego rzeczowość odpowiedziałem równą rzeczowością. Od razu przeszliśmy do rozmów. Ale zamiast kogoś z teczką, przedstawiam mu swoich pomocników. Niech każdy kierownik działu weźmie udział w rozmowach. Na sali obecny jest z-ca dyrektora d/s eksportu, z-ca dyrektora d/s produkcji, z-ca dyrektora d/s zaopatrzenia i zbytu, z-ca dyrektora d/s kadr i reklamy, dalej główny inżynier

główny technolog, główny specjalista, inżynierowie poszczególnych działów. Przed każdym — kieliszek koniakowi, jabłko i tonik. Na Zachodzie przepadają za tonikiem. Skończyła się era coca-coli. Teraz tam wszyscy piją tonik.

Każdą sprawę omawiał konkretny człowiek. To ci dopiero była rzeczowość. Wywijała się dyskusja tak ożywiona, że drugiej takiej nawet w ONZ nie usłyszczy się.

Potem zaprosiliśmy go na obiad. Ale nie do jakiejś tam restauracji, tylko do naszego ośrodka rekreacyjnego. Niech zobaczy prawdziwy obiad. I nie tylko w dwie osoby, ale wszyscy, którzy brali udział w rozmowach, zostali zaproszeni.

Obiad wymyśliliśmy. Począwszy od zakąsek, przystawek, różnych bułgarskich specjalności na pobudzenie apetytu. Wina i wódki — wyborne. Pan Morisson oczywiście prosi o herbatę. O, co to, nie, panie Morisson, herbatę u nas podaje się tylko chorym. I nalewam mu rakii. I myślałby kto, że facet nie pije, jak zaczął, zatrzymać go nie można było. Ze wszystkich on pił najwięcej. Nasz dawno by padł. Na kolację zabraliśmy go do nocnego lokalu. Niech zobaczy przy okazji nasze varieties. Wieczór był wyjątkowo udany. I wiesz, co mi powiedział następnego dnia na pożegnanie? „Panie Panajotow — mówi — pańskie przedsiębiorstwo to wielka firma. Mnie by na to wszystko nie było stać!” Wyciągnął od pana Morissona, którego cały świat ceni, takie słowa uznania, to nie jest byle co. Usłyszeć, że pan Morisson uznaje nas, którzy zwykłego planu nie jesteśmy w stanie wykonać i którzy pod koniec każdego kwartału jak te dziady prosimy, żeby go nam zmniejszono!

[CZEREMUCHIN,
wzręta dla „Szpilek”
Eugenia Dinkowa]